CYWIL

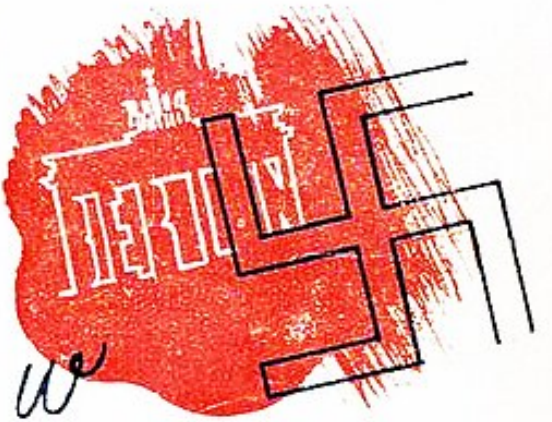

w

BERLINIE

ANTONI SOBAŃSKI

ROJ
NOWA SERJA

Cywil w Berlinie

Antoni Sobański

Towarzystwo Wydawnicze „RÓJ”, Warszawa, 1934

Pobrano z Wikiźródeł dnia 27 lutego 2026

ANTONI SOBAŃSKI

Cywil w Berlinie

WARSZAWA — 1934

TOWARZYSTWO WYDAWNICZE „RÓJ“

Cywil w Berlinie

Przyjazd

Naród w mundurze

Cywile, Reichstag i książki

Rewolucja
Żydzi
Odrębność
Wehrhaftigkeit
Wyjazd

Druk. „MONOLIT“, Warszawa, Ogrodowa 1, tel. 5-81-92.

*Tekst jest **własnością publiczną** (**public domain**). Szczegóły licencji na stronie autora: Antoni Sobański.*

Antoni Sobański

CYWIL W BERLINIE

Od dnia, kiedy zapłonął Reichstag berliński, oczy całego świata zwrócone są na hitlerowskie Niemcy. Zrzadka dochodzą nas wieści o tem, co dzieje się za naszą zachodnią granicą; olbrzymia fala terroru, bezprzykładna w XX wieku, zalewa całe Niemcy, głusząc wszelkie odgłosy tragedji narodu niemieckiego, jakie mogłyby się przedostać nazewnątrz. To też książka A. Sobańskiego zasługuje na szczególną uwagę: jest to pierwsza książka, dająca istotny, prawdziwy i całkiem bezstronny obraz dzisiejszej rzeczywistości niemieckiej. Czy to będzie kwestja żydowska, czy sprawa nastrojów odwetowych, zbrojenia wojenne, sytuacja gospodarcza, wewnętrzne walki polityczne — we wszystkich tych sprawach książka Sobańskiego może być nieocenionem źródłem; daje ona bowiem to, co decyduje niemal o charakterze i przebiegu wszystkich tych procesów: daje odbicie nastrojów wszystkich warstw i ugrupowań społecznych, daje obraz tej myśli, która rzeczywistością niemiecką kieruje. Jest przytem rzeczą niepośledniego znaczenia, iż pisał ją człowiek całkowicie pozbawiony pasji politycznej, która

tak często podaje w wątpliwość wiarygodność relacyj dziennikarzy czy polityków. Dzięki temu praca Sobańskiego jest nieocenionem źródłem poznania istotnej, niesfałszowanej żadnem uprzedzeniem prawdy o tem, co się dzieje w Niemczech.

„Autor uwag powyższych nie jest narodowcem. Posiada ideologję liberalno-lewicową“. „Pisze tonem, który podoba się żydom“.

„Gazeta Warszawska“

„Doprawdy byłoby najbardziej wskazanem, by tego „specjalnego wysłannika“ „Wiadomości Literackich“ odstąpiły gdzieindziej gwoli zluzowaniu niewątpliwie znużonego od nadmiaru entuzjazmu p. Jana Drobnika z „Gazety Warszawskiej“.

„Robotnik“

Pannie Marji Chrzanowskiej
wdzięczny AUTOR.

*Tekst jest **[własnością publiczną](#) (public domain)**. Szczegóły licencji na stronie autora: [Antoni Sobański](#).*

PRZYJAZD.

W Warszawie straszyli. Przyjaciele i znajomi prawie mnie „żegnali“. Zalecano ostrożność. Anglik zamieszkały stale w Berlinie opowiadał rzeczy naprawdę dość straszne. Znam go jako człowieka prawdomównego. Czy wierzyć tym wszystkim dochodzącym nas wiadomościom? Czy w Zbąszyniu przestraszę się na widok zielonego munduru niemieckiego urzędnika celnego? Od dzieciństwa był to dla mnie symbol zagranicy, wyjazdu, czaru podróży.

Ten niemiecki urzędnik kolejowy czy celny, który na pierwszy rzut oka zdawał się nieco szorstki, ba, nawet brutalny, jakże był uczynny i ojcowski w razie zgubienia biletu czy bagażu. Reprezentował on w moich oczach stosunek niemca w okresie powojennym do zagranicznego turysty. Czyż to wszystko się zmieniło? Czy wrogość spotka mnie już na samym progu Trzeciej Rzeszy? Tak bardzo nie chcę, by to się stało. Tak bardzo chcę zachować moje sympatje dla tej dziwnej zbiorowości (bo dziwną pozostała i za Republiki Weimarskiej). Tak bardzo chcę wynaleźć wszystkie dodatnie pierwiastki tego z ducha i celów obcego mi przewrotu. Będę szczęśliwy, jeśli mnie choć trochę na swoją wiarę nawrócą. Dla Niemców miałem zawsze wiele poważania (nie analizuję tego określenia) i teraz tak bardzo się boję, czy nie będę zmuszony usunąć z

pod nich piedestału; czy nie będę zmuszony przyznać rację tym wszystkim, którzy niemców sądzili według wspomnień z czasów Kulturkampfu i kolonizacji w Wielkopolsce i w Afryce; czy nie będę zmuszony uderzyć w ton boguojczyźniany. Boję się. A nuż endecy mają rację. Ale głównie boję się dać jeszcze jedną karabelę do rąk naszych licznych zuchów-Wołodyjowskich ze wszystkich obozów; do rąk tych wszystkich młodych, którzy tylko czekają na hasło nienawiści, by stworzyć nasze rodzime sturmabteilung'i. Boję się, że w mojej najskromniejszej mierze mogę przeszkodzić tej wspaniale godnej, męskiej, imponująco niedemagogicznej polityce zagranicznej jaką prowadzi obecny rząd polski.

Więc boję się. Jeszcze raz to powtarzam, ale pisać będę prawdę. Choć należę do powojennego pokolenia, jestem staroświeckim liberałem, i młodsi oraz nowocześniejsi odemnie wymawiają mi moje przywiązanie do uczciwej bezstronności. Ja się snobuję na objektywizm — oni nim gardzą. Twierdzą, że ludzie silni i twórczy nie mogą być objektywnymi; że nic nie zbudują. Możliwe. Ja w tej chwili nie chcę nic budować. Chciałbym ratować mój śmieszny, liberalny, ginący dzisiaj świat. Ale kto mi w tem pomoże? Moi młodsi rówieśnicy mają kult czynu i ideowego, choćby nawet najbrutalniejszego kłamstwa. Zdaje się, że po obydwuch stronach kordonu pod tym względem młodzi są sobie podobni.

Zresztą zobaczymy. Jadę trzecią klasą. W przedziale jedzie młody Żyd, może ma lat 15. Wyjeżdża sam jeden do ojca do Kolumbji. Ma ze sobą dwie walizki, a kufer nadany

został wprost do portu Kolumbijskiego. Ma też jedną markę niemiecką na wydatki między Warszawą a Amsterdamem, gdzie wsiada na statek.

W Poznaniu do mojego przedziału wsiada dwuch Niemców. Jeden z nich, Poznaniak, odbył służbę wojskową polską i wielce ją sobie a także swoim przygodnym towarzyszom podróży chwali. Drugi to Reichsdeutsche, podróżujący często po Polsce, a obecnie powracający do Berlina po 3 tygodniowej nieobecności. Obaj ci panowie interesują się Żydkiem, który tak daleko ma jechać, a mówi tylko po polsku i żydowsku. Z typowo niemiecką systematycznością dają mu wskazówki na drogę, kłopoczą się, naradzają, a po przyjeździe do Berlina biorą dla niego tragarza, który ma się nim zająć i wsadzić go w 4 godziny później do amsterdamskiego pociągu. Reichsdeutsche w dodatku ofiaruje chłopcu jeszcze 5 marek, a ten z rozczulenia całuje niemca w rękę na peronie Schlesiescher Bahnhof i mówi, że już teraz nie boi się podróży, gdy wie, że istnieją tak dobrzy ludzie. Rozpisałem się. Ale czy nie jest to nieoczekiwany wstęp do moich niemieckich „studjów“?

Na granicy ta sama dobroduszna uprzejmość; na dworcach te same co dawniej, pogodnie uśmiechnięte twarze. Między niemi, jak zawsze bywało, pojawia się zrzadka surowa twarz typowego Prusaka; budzi ona raczej śmiech swoim brakiem zmysłu humoru, niż przerażenie. Te same brzydkie, ale wysportowane, o cudnych cerach, panny objęte wpół przez dziwacznie-sportowo ubranych chłopców, wyglądających zawsze o wiele młodziej od

swych niewiast. A gdzież są objawy hitleryzmu? No tak, jest ich trochę. Szpilka ze swastyką w krawacie kontrolera paszportów, a we Frankfurcie nad Odrą i na przedmieściach Berlina na wszystkich parkanach wykaligrafowane bardzo porządnie choć kredą „Heil Hitler“ i znowu swastyka. Ale wszystko to już zmazane, i tylko widać blade ślady; widocznie sprzykrzyłoby się na codzień.

A co można wywnioskować z prasy? Zaopatrzyłem się na drogę jeszcze w Warszawie w ostatni numer „Die Neue Weltbühne“, pismo radykalne, które oczywiście przestało wychodzić w Berlinie i po wydaniu kilku numerów we Wiedniu osiadło obecnie w Pradze. Dziwi mnie treść tego tygodnika. Jest to przeważnie dość sucha i fachowa polemika z zamierzeniami i posunięciami Hitlera, ale nie znajduję tam prawie wzmianek o terrorze i antysemityzmie. Może numer, który czytałem, był w drodze wyjątku wolnym od tych bądźcobądź wysoce aktualnych tematów; a może mieli rację moi znajomi, socjaldemokraci niemieccy, którzy mi tłumaczyli później, że jest to tylko taktyka, zmierzająca do odzyskania prawa ukazywania się w Niemczech, gdy tylko sytuacja nieco się odpręży. Przed Zbąszyniem mój egzemplarz „Neue Weltbühne“, rzecz prosta, wyleciał przez okno, a polski konduktor uprzejmie poprosił o podarowanie mu polskich pism, gdyż „i tak szanowny pan zapewne nie będzie chciał wziąć ich ze sobą do Niemiec“.

Więc teraz w Niemczech zaopatruję się w berlińską prasę codzienną. Ciekaw jestem co w niej znajdę. Naturalnie, pierwsza rzecz, która rzuca się w oczy, jest to, że opozycja

głosu nie ma, a wszystkie pisma twierdzą, że właściwie opozycja ta wcale nie istnieje; nawet te pisma, które do dn. 5 marca były właśnie podporą opozycji.

Na widocznem miejscu drukuje się listę ważniejszych cudzoziemców, odwiedzających Berlin. Ma to dowodzić, że jest tu spokojnie i bezpiecznie. Na czele tej listy figuruje wzmianka: „wielki przemysłowiec angielski, p. Albert Mond, kuzyn Lorda Melchetta, który odgrywa wielką rolę w angielskim przemyśle chemicznym.“ Więc i Żydom zagranicznym, zdawałoby się, nic nie grozi.

Znajduję dużo wzmianek o nowych członkach zarządów i rad nadzorczych w bankach i spółkach akcyjnych. Nigdzie nie jest powiedziane, kogo zastąpili. To samo dotyczy licznych nominacyj lekarzy na stanowiska ordynarjuszy różnych oddziałów szpitali berlińskich. Nasuwa to wiele przypuszczeń. Poprzednik mógł być Żydem, mógł być komunistą, mógł być, o zgrozo, pacyfistą lub socjalistą. A gdzie jest obecnie? Może nie żyje, może jeszcze jeden wypadek „samobójstwa“, może jest zagranicą, a może odbywa ćwiczenia wojskowe w więzieniu lub obozie koncentracyjnym dla politycznie nieodpowiednio zorjentowanych?

Pisze się o wystawie sztuki kolonjalnej, że poza eksponatami jest wiele obrazów „z naszych dawnych kolonij, które to obrazy rozbudzają nanowo pragnienie odebrania tych terytorjów“.

O wystawie: „Zdrowie, Sport i Hygjena“ — że jest to wystawa czysto narodowa. Domyślam się, że firmy żydowskie mało tam wystawiają.

Patrzę na rubrykę teatrów. W Berlinie przecież teatry były zawsze tak wybitnie ciekawe, tak śmiałe w dotykaniu najdrażliwszych tematów i w walce z przesądami. Widzę, że to się skończyło. No i aktorów i reżyserów musi być brak, przecież tylu wśród nich było Żydów. A w dziedzinie muzyki? — szał Wagnera. Dwa teatry operowe przez cały miesiąc będą grały jedynie Wagnera. Może potrwa to i dłużej. Program jest drukowany tylko na miesiąc.

„Deutsche Illustrierte Zeitung“ na 42 zdjęcia podaje 29 hitlerystycznych, a 13 samego wodza. Pozatem na tematy nieniemieckie 4 zdjęcia, i to przestarzałe i błahe. Później miałem okazję stwierdzić, że bywają numery mniej partyjnie nastawione. Zaraz widać jednak, że w kompletnem opanowaniu przez partję rządzącą prasa Niemiec dzisiejszych nie różni się niczem od prasy sowieckiej, a jest nieporównanie mniej niezależna od włoskiej.

Nareszcie Berlin. Jadąc o 7-ej wieczorem przez całą długość miasta, spotkałem 5-ciu spacerujących hitlerowców w mundurach, oraz 2-ch członków Stahlhelmu. Flagi ze swastyką widać wszędzie, i kolorystycznie wyglądają świetnie. To może najbardziej udana flaga jaką znam. Jest dekoracyjna w duchu chińsko-japońskim.

Widzę, że dość dużo ludzi odwiedza, dawniej tak małym pietyzmem otoczony, grób Nieznanego Żołnierza. A jednakże grób ten jest bezwątpienia najbardziej nastrojowy i architektonicznie udany ze wszystkich jakie widziałem w Europie.

W hotelu, gdzie się od lat zatrzymuję, witają mnie

wprost serdecznie. Nie. Coś tu nie jest w porządku. Zaraz pierwsze wrażenie syntetyczne — jeżeli terror i ksenofobja istnieją, objawy ich muszą być bardzo skryte i podziemne. Pierwsze pytanie portjera, kasjera, windziarza, czy fryzjera hotelowego, którzy są wszyscy starymi znajomymi, jest jednobrzmiące: „co o nas myślą i mówią zagranicą?“ Pytanie to jest zadane prawie pokornie, a zainteresowanie opinją zagranicy palące i bardzo szczere. Pytanie to zresztą zadawała mi, chyba że bez wyjątku, każda nowo spotkana osoba w Berlinie, choćby ta osoba stała u samego źródła informacyj, jakim jest np. Ministerjum Spraw Zagranicznych. Pewna obawa, którą możnaby ująć w słowa: „Może idziemy zadaleko?“ istnieje prawie u wszystkich; a u najtrzeźwiejszych dochodzi do tego pytanie: „Czy się nie ośmieszamy?“ Moja odpowiedź, że decydująca opinja zagraniczna uważa przewrót w Niemczech za proces, który bynajmniej końca jeszcze nie dobiegł, i że żadna krystalizacja stosunków, jak dotąd, jeszcze nie nastąpiła, — wywołuje szeroki uśmiech ulgi, prawie że wdzięczności za tę sprawiedliwą ocenę sytuacji.

Po przyjeździe, do późnego wieczora staram się nawiązać kontakt ze znajomymi. Rezultaty są dość nikłe: nikogo niema w domu. Ciągle myślę z obawą: a nuż nie będą chcieli mnie znać? Strach i patrjotyzm często już zwyciężały nawet najlojalniejszą przyjaźń. Szczęśliwy jestem, że mogę tu stwierdzić, że pobyt mój w Berlinie nie usprawiedliwił tych przykrych przypuszczeń. Doznałem od wszystkich przyjaciół i znajomych bez względu na ich orjentację partyjną lub przynależność rasową, równie

serdecznego i gościnnego przyjęcia, jak za „wyuzdanych“ czasów weimarskich; jak gdyby słowa „międzynarodowy“ nie wykreślono z hitlerowskiego słownika; jak gdyby duch Goethego, przeciwko któremu generał Ludendorff ma tak wiele osobistych zarzutów i którego obecny „kurs“ uważa za podejrzanego kosmopolitę, promieniował jeszcze szlachetnie nawet w 101 roku swej nieśmiertelności. To prawda, że dn. 10 maja palono książki, ale prawdą też jest, że pomyślałem o Goethem, gdy znajomy mój kelner z kawiarni na Unter den Linden, skąd przyglądałem się pochodowi, poprzedzającemu potworne auto-da-fe, zapytał mnie głosem stłumionym nie ze strachu, ale ze wstydu, czy podobną hańbą okrył się już kiedy naród cywilizowany.

Dość dygresyj. A tak trudno ich uniknąć. Niemcy całe, i każdy człowiek uczciwy i myślący przechodzi tam obecnie przesilenie jak w ciężkiej chorobie. Jest i gorączka, i majaczenie, i możliwość najróżniejszych komplikacyj, a przedewszystkiem niepewność co do końca choroby. Stary lekarz wiejski, mówiąc o jakimś beznadziejnym wypadku, wyrażał się: „a potem zapewne nastąpi to co my w języku lekarskim nazywamy — mors“. Obawa śmierci duchowej jest bezwątpienia jedną z upiornych, choć ufam, że mało prawdopodobnych, możliwości tej choroby. Znam ludzi, dla których obawa duchowego zdziczenia Niemiec i zaprzepaszczenia ich kulturalnej puścizny jest zmorą spędzającą im sen z powiek.

Zrobiło się późno. Wychodzę z hotelu, by coś przekąsić i zobaczyć przynajmniej jak wygląda nocne życie odrodzonego duchowo Berlina. Wszak jedynie w Berlinie

istniało nie sztuczne życie nocne: Berlińczyk bawił się, a prowincjonał i cudzoziemiec bardzo mało dodawali ruchu i życia. Jadę do zachodniej, nowoczesnej dzielnicy, gdzie znajduje się większość dobrych restauracyj i eleganckich lub zabawnych lokali nocnych i barów. Jakież będzie moje powierzchowne, pierwsze wrażenie? Wiem, że więzienia są przepełnione, że wielu ludzi umarło w strasznych mękach i może w tej chwili umiera. Czy zobaczę odbicie tego na wyglądzie rozbawionej zazwyczaj ulicy?

Wszystkie restauracje są otwarte i… puste. Kawiarnie prawie wszystkie są czynne. Jedna czy dwie zamknięte. Właściciel był Żydem. Co, jak — nic nie wiadomo. Dość, że zamknięte. Inne zaś, też stanowiące własność Żydów — otwarte. Ale tylko kilka kawiarni cieszy się dużą frekwencją. Większość stoi pustkami. W jednej z wytworniejszych na Kurfürstendammie, głównej arterji tej dzielnicy, była niedawno obława policyjna, t. zw. „Polizeirazzia“. Powód nieznany. Dość że wszystkich rewidowano, wylegitymowano, nikogo nie zatrzymano, ale rezultat był taki, że nazajutrz już prawie nikt tej kawiarni nie odwiedził i stoi pusta. Może szukano handlarzy kokainy, może socjal-demokratów, a może poprostu chciano „wykończyć“ lokal.

Lokale nocne świecą pustkami, tak że są zamykane jedne po drugich. Przeważną część gości stanowili tam bogaci Żydzi, lub ludzie w ten czy inny sposób od nich zależni. Ta kategorja klienteli dziś nie istnieje. Żydzi częściowo obawiają się pokazywać, częściowo oszczędzają. Przecież przyszłość jest tak niepewna… Bogaty niemiec — aryjczyk

też chowa się z pieniędzmi. Jeżeli jest choć trochę politycznie podejrzany, — a podejrzanym jest każdy, kto nie opowiedział się wyraźnie za obecnym ustrojem, nie wolno dużo wydawać; łatwo takiemu dowieść korupcji i nadużyć finansowych; tak najskuteczniej go się niszczy.

Różne są też drobne, ale charakterystyczne powody obecnej stagnacji życia nocnego. Muzyka jazzowa jest źle widziana w sferach narodowych socjalistów. W mojej obecności członek partji zażądał zaprzestania foxtrota i rozkazał grać marsza. Gdy wchodzi ktoś z oznaką partyjną w klapie marynarki lub w krawacie, zapada cisza i pewien chłód. Członek Stahlhelmu jest o wiele milej widziany i zupełnie inaczej się zachowuje: mniejwięcej jak polski oficer po cywilnemu. Od czasu do czasu do lokalu wchodzi patrol SA (Sturmabteilung) głównie po to, by sprawdzić czy niema innych SA lub SS (Schutzstafel). Bojówkarze hitlerowscy nie mają prawa przebywać w lokalach po 8-ej wieczór, jeżeli są w mundurach. Mają oni swoje kawiarnie, piwiarnie i restauracje, t. zw. Sturmlokale. Są to przedsiębiorstwa, których właściciele zostali uznani za wyjątkowo prawomyślnych. U wejścia do takiego sturmlokalu wisi chorągiew ze swastyką. Jest to zwykle lokal tańszy, do którego zresztą każdemu wolno wejść. Muzyka gra tam marsze oraz pieśni patrjotyczne i wojenne. Znana żydowska koszerna restauracja w pasażu przy Unter den Linden jest obecnie sturmlokalem, a szyld zapewnia, że zarząd jest „czysto narodowy“. W sturmlokalach goście często powstają i stojąc piją piwo. Jest to skomplikowany rytuał. Nie zdołałem zbadać wszystkich jego tajemnic. Jest

to trochę, jak u proboszcza na odpuście. Nigdy nie wiadomo kto kogo i dlaczego ma po obiedzie całować w łokieć.

W związku z nocnym życiem trzeba chyba wspomnieć o kobietach. Wyszły przepisy co do głębokości dekoltu zawodowej fordanserki (ci ludzie o wszystkiem pamiętają). Nie sądzę jednak, aby ten przepis był po drakońsku wprowadzany w życie. Płatnej fordanserki nie wolno po tańcu zaprosić do stolika lub baru. Jeżeli kto chce mieć towarzystwo kobiece, musi je sobie sprokurować zawczasu nazewnątrz i związać się na cały wieczór. Wielu panów mówi, że wolą nie. Podobne stosunki każą mi zapytać się przyjaciół, jak to się dzieje: z jednej strony purytanizm i pruderja (kanclerza Hitlera podobno nic nie kosztuje powściągliwość płciowa) — a z drugiej strony te rzesze prostytutek bardziej niż kiedykolwiek natarczywych i ciągnących mężczyzn za rękaw do bram. Nie można wprost wieczorem wrócić do hotelu, nie okupiwszy się przynajmniej papierosem. Na to słyszę odpowiedź, że choć ideałem narodowego socjalizmu jest rozmnażanie się, a więc małżeństwo, jednakże stosunek płciowy jako akt wybitnie męski może być tolerowany, byle mężczyzna okazywał kobiecie, która nie ma zamiaru zostać matką, należytą pogardę i brutalność.

A propos brutalności. Na Leipziger-Platz i koło sklepów Kadewe można było spotkać późnym wieczorem kobiety w wysokich czerwonych sznurowanych butach. Spacerowały, wymachując zalotnie szpicrutą. Czekały na panów, którzy rozumieją tę podwójną symbolikę. Mam na myśli bardziej

brutalne formy miłości, jeżeli to można tak nazwać. Otóż pewnej nocy przychodzi „Polizeirazzia“ i wszystkie te panie brutalnie zabiera. Ale biciem nie da się ich nastraszyć, więc w trzy dni później zjawiają się znowu na dawnych posterunkach, trochę obolałe, ale z piersią ozdobioną żetonem narodowo-socjalistycznym. Nikt ich dziś podobno nie śmie maltretować, z wyjątkiem oczywiście starych, jeżeli nie stałych klientów.

Ale naogół biedne są dzisiaj kobiety w Niemczech. Życie im się stanowczo nie uśmiecha. Wice-kanclerz von Papen mówi, że rolą życiową niemki, — o ironjo! — jest umrzeć; tak, umrzeć. Mężczyzna powinien umrzeć za ojczyznę z bronią w ręku na polu bitwy (tych pól, ma zawsze jakoby wystarczyć) a kobieta ma umrzeć w połogu; ale oczywiście, nie w pierwszym, tylko przynajmniej w dziesiątym.

W drugą niedzielę maja obchodzi się zwykle w Niemczech Dzień Matki. W tym roku odbywał się on pod hasłem gloryfikacji licznych rodzin. Aby zachęcić panny na wydaniu i początkujące mężatki, wszystkie pisma ilustrowane zamieściły fotografje i artykuły o matkach zasłużonych, czyli takich, które straciły wielu synów na wojnie. Nie wiem, doprawdy, kto ma dziwaczniejszą mentalność: redaktor-propagandzista, czy kobieta, która się na taką propagandę da złapać. Poza rolą matki, ruch narodowo-socjalistyczny nie przyznaje innej roli kobiecie. Istnieje wprawdzie dziewczęca organizacja hitlerowska (coś w rodzaju harcerek), ale, jak mi mówiono, jest ona traktowana po macoszemu. Biedule te paskudnie wyglądają. Każą im nosić długie włosy, a że od wyborów

nie zdążyły im jeszcze wyrosnąć warkocze a la Lorelei, więc chodzą z malutkimi sztywnymi warkoczykami, istne karykatury przedwojennych „gąsek“ warszawskich.

Partja życzy sobie, żeby kobieta-Niemka nosiła długie włosy, nie szminkowała twarzy, nie karminowała warg i nie paliła w publicznych lokalach. Podobno rzeczywiście Leichner i inne firmy kosmetyczne odczuwają już dotkliwie duży spadek popytu na ich artykuły.

13-letnia córka mojej dobrej znajomej doznała wielkich przykrości w szkole od koleżanek z powodu swego żydowskiego pochodzenia, o którem wogóle dotychczas nie wiedziała. Przecierpiała bardzo głęboko fakt, że choć się czuje Niemką, nadal nie będzie za Niemkę uważana. Jestem u jej matki na herbacie; wpada nagle do salonu i mówi uradowana: „A ja będę mogła ładnie się ubierać, ja zawsze będę szykowna, bo jestem Żydówką i mnie wolno“. Eureka!

Wszystko to są fakty i wrażenia, które choć same w sobie nie ważne, przyczyniają się do stworzenia tła codzienności, dla tych licznych i bynajmniej nie „codziennych“ wydarzeń i fenomenów, jakie dziś w Niemczech można zaobserwować. Te, po większej części drobne szczegóły życia, które przytoczyłem, przychodzą mi na myśl, gdy wspominam mój pierwszy samotny wieczór w Berlinie.

Jeszcze nikogo nie zdążyłem widzieć, wypytać, nie zdążyłem się nawet przekonać, jak trudno mi to wypytywanie przyjdzie.

*Tekst jest **[własnością publiczną](#) (public domain)**. Szczegóły licencji na stronie autora: [Antoni Sobański](#).*

NARÓD W MUNDURZE.

Pierwszy poranek w Berlinie. Wychodzę z hotelu. Zaraz rozumiem, że wrażenia poprzedniego wieczoru niezupełnie odpowiadają rzeczywistości. Dziś widzę, że wygląd ulicy bardzo się zmienił. W dzielnicy zachodniej mniej to było znać. Lecz tu, gdzie mieszkam, w centrum (do niedawna zwanym z angielska City, a wymawianym z niemiecka Ziti), widać dwie główne zmiany: morze mundurów i nieobecność cudzoziemców.

Najpierw powiem o turystach cudzoziemskich, bo z nimi sprawa krótka: poprostu niema ich. Byłem wszędzie, gdzie się ich dawniej niechybnie spotykało: Wagons-Lits i inne biura podróży, halle i bary pierwszorzędnych hoteli. W ciągu 10-dniowego pobytu słyszałem dwa razy mowę francuską i ani razu angielskiej. W American Express‘ie, gdzie codzień zmieniałem pieniądze, byłem kilkanaście razy, a spotkałem wszystkiego 3 cudzoziemców. Dawniej pomimo kryzysu roiło się tam od nich przez calutki dzień.

Na Unter den Linden, gdzie zawsze stał sznur autocarów, obwożących turystów po „sehenswürdigkeit“ach Berlina, z tłomaczami wykrzykującymi w różnych językach uroki „Rundfahrt“u, — widać jeden taki wehikuł z trudnością zapełniający się do połowy Niemcami z prowincji.

Napływ z prowincji jest dość znaczny, bo wogóle

Niemiec lubi zwiedzać swoją ojczyznę, a pozatem rewolucja hitlerowska spowodowała tyle zjazdów, obchodów, demonstracyj i t. p., których Berlin jest ośrodkiem, że hotele, głównie tańsze, i ulica nie robią wrażenia zamarłych.

Powracając do cudzoziemców — wyjątek stanowią Włosi, których spotkałem dość wielu, oraz różni młodzi Azjaci, zapewne studenci. Podobno fakt, że od wojny Niemcy nie posiadają koncesyj w Chinach, ogromnie tam podniósł ich popularność i stąd ten frapujący napływ żółtej młodzieży akademickiej.

Czem wytłumaczyć kompletny zanik napływu turystów zagranicznych — doprawdy, nie wiem. Niemcy — jak zawsze — pozostały idealnym krajem dla wycieczek. Poza wielkiemi ośrodkami miejskiemi można wszędzie urządzić się bardzo tanio. Dobroduszna życzliwość jednostki w stosunku do cudzoziemców nie straciła nic ze swego dawnego uroku. Trzeba stwierdzić, że turysta zagraniczny jest dziś milej niż kiedykolwiek widziany; „Fremdenverkehr“ dorósł do rangi ideału. Nie wahałbym się urządzić całkowicie polskiej wycieczki po Niemczech i wiem, że o żadnych przykrościach nie byłoby mowy. Możebym nie zwiedzał Śląska. Moi znajomi Francuzi przejechali całe Niemcy samochodem i nie natrafili nawet na cień jakiejkolwiek nieżyczliwości. Jedynie może tylko samotnie podróżujący Żydzi mogliby się spotkać z objawami rasowych antagonizmów w jakichś małych prowincjonalnych dziurach. A i to zresztą wydaje mi się wysoce nieprawdopodobne.

Oczywiście, mówiąc o nieobecności cudzoziemców, nie mam na myśli zagranicznych dziennikarzy czy dyplomatów, stale mieszkających w Berlinie. Dziennikarze ci schodzą się w południe w barze Hotelu Adlon, a późnym wieczorem we włoskiej knajpie „Die Taverne“. Nasłuchałem się tam wiele rzeczy ciekawych i pouczających, częściowo w rozmowach jakie tam prowadziłem, częściowo rzetelną, choć męczącą metodą podsłuchu. Zrozumiałem zaraz przy pierwszem zetknięciu z dziennikarzami anglosaskimi, którzy do tak niedawna, bo jeszcze do stycznia, byli wyraźnie pod wpływem prestige‘u Niemiec, że Trzecia Rzesza, która stworzyła specjalne ministerjum „wyjaśnienia i propagandy“, — tymi panami jeszcze się nie zajęła. Nastroje wśród nich są dziwnie sceptyczne. Powstało nagle wielkie zainteresowanie Polską. W barze Adlonu usłyszałem djalog między dwoma dziennikarzami amerykańskimi, pracującymi w Berlinie prawie od zawieszenia broni, a więc bardzo „miejscowymi“ ludźmi.

„Widzisz, zawsze mówiłeś, że Polacy pierwsi stworzą zamęt w Europie, a teraz patrz, jacy są spokojni i opanowani“.

Odpowiedzią na to było gniewne burknięcie człowieka, który stawiał na faworyta w biegu, gdzie przyszedł fuks.

Ludzie ci są równie zdezorjentowani jak byle jaki laik zagranicą. Wszak przewrót w Niemczech jest tak rzeczywiście „cudowny“ (od słowa cud) — nie tłomaczy się ani logiką, ani wogóle żadnemi naturalnemi prawami fizyki dziejowej.

A teraz trochę o mundurach. Choć jakże tu można powiedzieć „trochę“, kiedy temat jest tak obszerny. Odmian mundurów jest bez końca. Wymagałyby one właściwie obszernej, kilkutomowej publikacji z kilkudziesięciu kolorowemi planszami. Dzieło wypadłoby drogo, no i trochę smutno.

Budzi mnie rano pierwszy telefon od pierwszego znajomego, który nawiązuje ze mną kontakt. Zastanawiałem się poprzednio, jakże się też on ustosunkował do przewrotu. Słucham więc ciekawie: „No więc co? Jesteś w Berlinie? A masz jaki mundur? Nie? No to wogóle nie jesteś nikim. Zresztą przez telefon lepiej ostrożnie.“ Widzę, że swój człowiek.

Wychodzę wczesnym rankiem z mojego pokoju w hotelu i widzę przed kilkoma drzwiami numerów buty z cholewami. Dopiero po jakimś czasie obraz ten uwypukla się w mojej świadomości. Przecież dawniej, szczególnie w rozbrojonych Niemczech tego się nie widziało. Ten obrazek nasuwa mi myśl o możliwości bardziej imponującej „nature morte“, gdy iperyt i patrjotyzm nareszcie wypowiedzą się przy pomocy jedynego właściwego sobie medjum.

Więc przedewszystkiem są SA (Sturmabteilung) — bronzowe koszule. Ten specyficzny kolor bronzowy jest chyba najbrzydszym z rodziny bronzowych odcieni. Ujdzie jeszcze w płótnie, ale sukienne mundury wyższych dygnitarzy, których zresztą widać rzadko, są wprost ohydne.

Pozatem istnieją SS (Schutzstaffel). Jest to jakby gwardja bojówek hitlerowskich. Ludzie specjalnie zaufani oraz

lepiej wojskowo wyszkoleni. Noszą bardzo szykowne czarne mundury. Właśnie szykiem różnią się bardzo od SA, gdyż ci bez wyjątku wyglądają jakoś pomięci i niezamaszyści.

Potem idzie organizacja Stahlhelm, o charakterze wybitnie konserwatywnym, przeważnie monarchistycznym, grupująca po większej części byłych kombatantów i w ramach swego temperamentu — apolityczna. Organizacja ta jest karna i państwowo myśląca i mogłaby stać się skutecznym hamulcem na radykalność bojówek. Mundur Stahlhelmu tak mało różni się od munduru wojskowego (Reichswehry), że trudno zauważyć różnicę.

Mówiąc o Stahlhelmie, trudno nie wspomnieć o kobiecym odpowiedniku tej organizacji, a mianowicie: „Die Kölubu Damen“. Choć rolę odgrywają wogóle niewspółmiernie mniejszą, ale obserwator zagraniczny nie może pominąć ich milczeniem, tyle mają w sobie „couleur locale“ i — po polsku — barwności. Przedewszystkiem te panie, przeważnie starsze, przeważnie tłuste, przeważnie brzydkie, o niesłychanie rumianych, zdrowych, jakby tartą cegłą pielęgnowanych cerach, wyglądające jedna w drugą na zasłużone matki, wzorowe żony, typowe „gute Hausfrauen“, — noszą suknie o nieokreślonym, pokrowcowym fasonie z sukna chabrowego, a to dlatego, że chabry były ukochanym kwiatem królowej pruskiej Ludwiki (patrz Napoleon), duchowej patronki organizacji, gdyż Kölubu jest skrótem dla Königin Louise Bund. Pierś tych pań, często dość pokaźną zdobi srebrna broszka z literą „L“. Panie te — to patrjotki o zasadach wybitnie

zachowawczych. Jak na swój przeciętny wiek i tuszę, bardzo dzielnie kroczą za muzyką wojskową, gdy w południe maszeruje przez Unter den Linden przy zmianie warty. Ceremonjał ten odbywa się od maja według dawnego, przedwojennego protokułu i wywołuje łzę rozrzewnienia w niejednem oku Kölubu Dam. Sądząc jednakże z ich stanowczego wyrazu twarzy, żadna z nich nie poszłaby na dyplomatyczny kompromis, gdyby jakiś nowy Napoleon postawił im alternatywę. Większość dam z Kölubu, jakie miałem sposobność spotkać, niewątpliwie przybyła z prowincji. Zdradzało to wiele oznak: przez jedno ramię przewieszony aparat fotograficzny, przez drugie woreczek niewiarogodnie staroświecki, zamykany na kluczyk, a co najważniejsze — dowolny kapelusik. Kobieta w Berlinie jest dziś świetnie ubrana, a kapelusze tych naszych konserwatystek nie zdradzają jakiegokolwiek pokrewieństwa z prądami mody paryskiej. Panie te dużo jeżdżą tramwajami i autobusami licznemi, dość hałaśliwemi grupami, nawołują się serdecznie, są uradowane, że przyjechały do Berlina, że w tym Berlinie duch Niemiec się odradza, wyglądają poczciwie, trochę śmiesznie i bardzo sympatycznie. Chciałoby się każdą z nich zaadoptować na matkę, tylko, że niewiadomo, czy w razie wojny to jest właśnie ten typ matki, która pomoże uciec do neutralnego państwa. Tak mi się coś zdaje, że nie.

Za mojego pobytu istnieli jeszcze niemiecko-narodowi. Mieli oni też swoją umundurowaną organizację t. zw. Bismarck Bund. Czarne spodnie, zielona koszula, czapka wojskowa, a na ręku czerwono-biało-czarna opaska z

nazwą organizacji. Z powodu znacznego upośledzenia w stosunku do innych „mundurów“, Bismarckbundowcy najgwałtowniej karotowali. Bo trzeba wiedzieć, że i hitlerowscy i Stahlhelm wciąż żebrzą.

Na wszystkich głównych i ruchliwych skrzyżowaniach ulic, nawet w najbiedniejszych dzielnicach, spotyka się przedstawicieli mundurowych ugrupowań, a każdy z nich potrząsa skarbonką. Stahlhelmowiec, który najgodniej i najmniej natarczywie szuka zapomogi, trzyma wojenny hełm stalowy przerobiony na skarbonkę. Monety wrzucane do hełmu, to chyba nie olej wlewany do głowy przyszłych ofiar przyszłej rzezi. Myślę, że ten co hełm ów nosił pod Verdun czy na polach Flandrji, gdyby dzisiaj żył, takby się już starał głową potrząsać, żeby żadna moneta nie dostała się do środka hełmu.

Hitlerowcy też nie próżnują, jeżeli chodzi o zbieranie funduszów: czy będzie to w nocnym lokalu, czy w restauracji, czy w kawiarni, wszędzie podchodzi do stolika taki ultra-marsowo wyglądający drab i proponuje kupno pocztówki z podobizną Wodza. Z początku pobytu robi to wrażenie i wymaga pewnej odwagi cywilnej, żeby nie zgodzić się na tranzakcję. Nie widziałem ani śladu przymusu w tej sprawie, ale gdybym miał rysy semickie, wyjechałbym z Berlina, zaopatrzony w kilkadziesiąt wizerunków „Führera“.

Jakież są jeszcze mundury? Nie potrafię ich wyliczyć, bo o wielu nie mogłem wogóle dowiedzieć się, jaką organizację przyodziewają. Zacytuję więc tylko kilka: rosyjscy hitlerowcy, „Hitlerjunge“ (organizacja mająca

zastąpić bardzo źle widziane, bo międzynarodowe, harcerstwo), pensjonarjusze obozów dobrowolnej pracy (ex-bezrobotni), policja i policja pomocnicza (ta ostatnia jest organizacją czysto hitlerowską, używaną głównie przy wielkich obławach policyjnych, masowych aresztowaniach i t. p.) — no i nareszcie właściwe wojsko. Wojskowych widać wszędzie. Naturalnie nie tylu co u nas, ale o wiele więcej niż pół roku temu.

Poza szeregami obywateli w mundurach, istnieją jeszcze o wiele liczniejsze szeregi cywilnych sympatyków z musu lub przekonania. Poza dość nieznaczną ilością skoszarowanych SA, większość ich, kiedy nie pełni służby (prace czysto partyjne oraz ćwiczenia wojskowe), chodzi po cywilnemu i tylko nosi odznakę w klapie od marynarki lub w krawacie. Odznak tych jest tyle, że nie sposób się połapać, pomimo, że stanowi to ciągły temat ożywionych dyskusyj. Wszystko, co jest mundurem lub oznaką, ma ogromne znaczenie, i problemat, kto do noszenia czego jest upoważniony, — zabiera wiele czasu w rozmowach i nasuwa wiele podejrzeń lojalnemu puryście od szlif i żetonów.

Więc Stahlhelm nosi miniaturowy hełm stalowy w klapie, a żeton oznaczający przynależność do SA upoważnia do powitania faszystowskiego. Nieopisanie pocieszny widok przedstawia dwóch krępych starszych panów, z tekami pod pachą, którzy krzyżując się na ulicy, z kompletnie obojętnym wyrazem twarzy, wyrzucają nagle naprzód i wgórę rękę, zakończoną krótkimi artretycznymi palcami. Gest ten przywykliśmy kojarzyć w myśli z

najgroźniejszą stroną w kinematografji, mianowicie z filmami o starożytnym Rzymie. „Quo Vadis?“ i „W Cieniu Krzyża Hitlerowskiego“ — cóż za świetne tytuły dla filmów o obecnych Niemczech!

Ale wracam raz jeszcze do mundurów i odznak, a wracać będę z natury samego tematu — ciągle. Należy zaznaczyć, że niejeden bezrobotny, z którego cywilne ubranie wprost spadało w łachmanach, od chwili kiedy dostał mundur SA, choć nie należy do uprzywilejowanej grupy skoszarowanych, munduru tego już oczywiście nie zdejmuje. A mundur taki wypada niedrogo, bo zdaje się, że kompletny ekwipunek „fasowany“ w partji kosztuje 12 mk., a spłaca się go dowolnie, byle co miesiąc coś wpłacić. Można podobno nawet mniej jak markę.

Mówię „podobno“, bo dowiedzieć się prawdy i szczegółów o sytuacji i organizacji finansowej partji narodowo-socjalistycznej jest rzeczą niemożliwą. Miarodajna opinja mówi, że skarb państwa nie wspiera bezpośrednio partji; że poprostu nie stać go na to. Podobno składka członkowska wynosi 3 mk. miesięcznie z nieco wyższem jednorazowem wpisowem, a znowu (też podobno) w formie djet wypłaca się szturmowcom na służbie 3 mk. dziennie. Cyfra ta wydaje mi się przesadzona, ale w każdym razie wydatki związane z tak czynną i liczną organizacją muszą sięgać wielu miljonów, a skarbonki i pocztówki chyba tyle nie dają.

Poza odznaką przynależności do SA najczęściej spotykany żeton, to odznaka członkostwa t. zw. „Betriebszelle“, czyli komórki albo jaczejki narodowo-

socjalistycznej. W każdej firmie czy instytucji, dającej zatrudnienie chociażby najmniejszej grupie pracowników, musi istnieć taka „Betriebszelle“. Misją takiej jaczejki jest szerzenie ducha rewolucji narodowej w danym zbiorowisku pracowników i reprezentowanie go wobec władz, ale głównie na manifestacjach. To coś w rodzaju komitetów robotniczych, tylko że zadaniem głównem jest przyjmowanie rozkazów, a nie wyrażanie żądań. Dziwnie też wyglądają niektórzy moi socjalistyczni, czy komunizujący znajomi ozdobieni tym żetonem. Ale wyboru nie mieli — inni ich wyznaczyli. Partja połapała się zresztą dość szybko i zrozumiała niebezpieczeństwo wprowadzania do organizacji tylu ludzi obcych duchowi hitleryzmu i zatrzymała przyjmowanie czy naznaczanie nowych członków do „Betriebszelle“, tak samo zresztą jak do partji wogóle. Kiedy wybory 5 marca wykazały, kompletne zwycięstwo Hitlera, wówczas wśród komunistów padł mot d‘ordre — wstępować do SA i wogóle partji narodowo-socjalistycznej. Oczywiście, że powyższy fakt nie jest podawany przez czynniki rządowe czy partyjne jako przyczyna ograniczenia w przyjmowaniu nowych członków. Oficjalnie mówi się, że skoro nastąpiła „Gleichschaltung“ (koordynacja) całego ruchu robotniczego i zawodowego pod sztandarem narodowego socjalizmu — to ipso facto jaczejki tej partji i rozszerzenie samego członkostwa partji są zbyteczne. Każdy niemiec jest w duchu Nazi, choć nie zadokumentował tego oficjalnem przystąpieniem do ruchu. Tak przynajmniej daje się do zrozumienia.

Pewne poczucie niepewności co do elementu, na którym opiera się rząd, obawa przed szaleńczemi poczynaniami młodych, oraz wogóle przed zbytniem zradykalizowaniem ruchu narodowo-socjalistycznego — podyktowała też wszystkie rozporządzenia, dotyczące „odpolitykowania“, czyli zakazy należenia do partji narodowo-socjalistycznej funkcjonarjuszom policji i wojskowym. Są to jedne z niewielu wybitnie rozsądnych i niedemagogicznych posunięć rządu, a trzeba być w Niemczech, aby móc docenić odwagę wydania podobnych zarządzeń.

— — — — — — — —

Idę ulicą. Po jednej stronie wielki napis na szybie wystawowej sklepu z gramofonami głosi: „Tu można nabyć wszystkie płyty narodowego odrodzenia“ (Erhebung). Po drugiej, prawie naprzeciwko, nie można się wprost docisnąć, aby spojrzeć na wystawę grawera. Na szybie napis: „Znów dekoracje, ordery i odznaki honorowe“, a za szybą istny skarbiec wszelakich możliwych krzyży, gwiazd i wstęg wielkości naturalnej i w minjaturze. Oczy ludziom wprost z głowy wyłażą; są wprost zaczarowani urokiem tego, co oglądają. Bezwątpienia wystawa ta budzi wspomnienia czasów świetności. Żelazne Krzyże — to heroizm i męski czyn męskich lat wojny. (Przymiotnik męski jest wogóle używany jako synonim wszystkiego co jest wybitnie dodatnie). Ale czy ustanowiono już nowy order dla nagradzania czynów odwagi cywilnej? Nic o tem nie słyszałem. A może nie ma jeszcze kandydatów?

*Tekst jest **[własnością publiczną](#) (public domain)**. Szczegóły licencji na stronie autora: [Antoni Sobański](#).*

CYWILE, REICHSTAG I KSIĄŻKI.

Czem jest odwaga cywilna? Jest to objaw indywidualności. Skoro grupa czy zbiorowość czuje jednakowo, niema już miejsca na tę cnotę. Więc i w narodzie, który, jak wykazały ostatnie wypadki, ma we krwi zmysł organizacji żołnierskiej, trudno jest odnaleźć objawy odwagi innej niż fizycznej. Byłby to wprost wybryk. Jakto? Dobry żołnierz, a ma swoje zdanie i jeszcze się przy niem upiera? Naród niemiecki był od wieków wychowywany w duchu bojowym. „Heldentum“ — bohaterskość, oczywiście, w znaczeniu wyczynów wojennych, jest gloryfikowana jak nigdzie. Kult dla Richthofena naprzykład jest dziś w Niemczech tak żywy jakby ten, naprawdę zresztą nadzwyczajny, lotnik zginął wczoraj. Z drugiej strony, w podświadomości narodu istnieje podejrzenie, że wszelka „Geistigkeit“ (duchowość) jest czynnikiem osłabiającym i przez to nie może istnieć w jednostce lub też zbiorowości równocześnie z odwagą fizyczną. Nietylko nie może współistnieć, lecz jest jej wręcz wroga. Od „pięknoduchów“ łatwo też mogą nawymyślać. A wiadomo, że grupy silnych ludzi, rządzących obecnie niektóremi państwami Europy, uważają to słowo za świetną i miażdżącą obelgę. Może zresztą nietylko rządzący, ale wogóle ludzie jutra. Wątpię, aby nasz student —

nacjonalista, spalający się w szale nienawiści do wszystkich sąsiadów Polski i do wszystkich jej mniejszości, znalazł w sobie dużo miejsca na duchowość, już nie mówiąc o uduchowieniu.

Co do Niemiec, wyżej wypowiedziany sąd musi się wydać surowy. Jest takim. Ale może się też wydać aprioryczny, bezczelny. Nie wypowiedziałbym go też, gdybym nie znalazł jego potwierdzenia u osób inteligentnych, znających Niemcy nawskroś, — poprostu u samych Niemców.

Dużo miejsca poświęciłem powyższym wyjaśnieniom, ale było to konieczne. W dalszem nawiązywaniu kontaktu z niemiecką dzisiejszością będziemy musieli wciąż powracać do tego zagadnienia. Bo albo zdziwi nas, że jakaś wybitna jednostka czy grupa nie zaryzykowała skórą (o głowie nie mówię, bo męczeństwa wymagać można tylko od siebie samego, chyba że się jest rządem), albo też, że ludzie stojący bezwątpienia poza niebezpieczeństwem represyj, a przeciwnie, posiadający pełną kontrolę nad aparatem władzy, postąpili, zdawałoby się, po tchórzowsku. Tymczasem wcale nie. Oni są poprostu organicznie niezdolni do wystąpienia z szeregu. „Gänseschritt“ nie znosi arytmji; dobry żołnierz nie myśli, tylko swoje robi. A że to „swoje“ czasem jest cudzem życiem, no to trudno.

— — — — — — — —

Przyszedł wieczór. Spotykam się na kolacji z pierwszym moim berlińskim znajomym. Idziemy do Schlichtera. Jest to

knajpa, gdzie schodziła się cała bohema. Nie wstydzę się w tym wypadku tego skądinąd żenującego słowa, bo zachodzi tu rzadki wypadek kiedy określenie odpowiada prawdzie. Za mało znam Berlin, aby zdać sobie sprawę kogo brakuje tam ze „stammgastów“, ale widzę zaraz, że publiczność ma charakter wybitnie mieszczański. Zasiadamy. Cóż się też dowiem od Kurta? Ranny telefon, o którym pisałem, powiedział mi już wiele. Ale autokrytyka to jedna sprawa, a cudzoziemiec żerujący na sensację w kraju przechodzącym tak ciężką operację, to zupełnie co innego. O tem muszę pamiętać.

Kurt należy do powojennych Niemiec. Znam go od lat sześciu. Od tego czasu bywał na wozie i pod wozem, ale przeważnie pod. Odkąd go znam, nie miał stałego zajęcia. Urodzony w Poznaniu, nie chciał pozostać przy rodzicach na polskim Górnym Śląsku i pokłócił się z nimi. Chłopiec prawy, inteligentny, z naukami przerwanemi w połowie gimnazjum, rozgoryczony jest i wykolejony do głębi. Zawsze mnie dziwiło, że nie został komunistą, a teraz wprost zdumienie mnie ogarnęło, że nie uchwycił się tej deski ratunku, jaką mogło się stać dla niego wstąpienie do szeregów SA. Tłumaczy mi, że szanuje czystość intencji i nie znosi oportunizmu. Pozatem ze wszystkiego co mówi widać, że jest indywidualistą. Po pierwszych zdaniach zmiarkowałem, że narodowego socjalizmu nie znosi, a będąc obdarzony czujnym zmysłem humoru, nie może wprost przyzwyczaić się do zewnętrznych, często śmiesznych objawów rewolucji. Ciągle porozumiewawczo szturcha mnie łokciem. Tymczasem ja robię szlachetne

wysiłki „asymilacyjne“ i staram się przywyknąć do tego całego egzotyzmu. Zmysł humoru Kurta sprawia, że chętniej opowiada anegdoty, niż udziela informacyj rzeczowych. Pozatem jest zmęczony i smutny.

Całe rano trzymali go w urzędzie podatkowym; jak mówi, przeszedł tam istną inkwizycję. Wszyscy znajomi zresztą skarżyli się mnie na to samo. Rząd Nazi przykręcił śrubę podatkową, jak jeszcze żaden z jego poprzedników. Podobno urzędy podatkowe zdwoiły personel. Zresztą nietylko podatkowe, bo w niektórych innych urzędach luki, wytworzone przez rugi partyjne czy rasowe, zostały wypełnione „z czubkiem“ przez „swoich“ ludzi.

Tu niepolityczna wstawka. O Kurcie i urzędzie podatkowym. Rozwścieczony niedyskretną, a przewlekającą się indagacją, oznajmia, że dochody ma niestałe, bo jest na utrzymaniu u mężatki. Na to urzędnik: „Proszę o nazwisko tej pani — my to sprawdzimy“, i tu następuje rycerska odpowiedź: „Powiedziałem, że ta pani jest mężatką“.

Pytam Kurta o jego rówieśników, o chłopców poniżej trzydziestki. Co się z nimi dzieje? Co też myślą o przewrocie? Słyszę odpowiedź, że wszyscy są w partji. Co, i komuniści i socjaliści też? A jakże.

— Więc, znaczy, masz dużo znajomych w partji? — O, chyba przeszło setkę.

— Co, i wszyscy z przekonania? — Nie. Nie znam ani jednego, któryby się entuzjazmował.

— Więc jakież są powody, że ci wszyscy chłopcy są w SA?

Następuje dość jasne, widać że przemyślane wyjaśnienie. Powodów jest wiele. Chyba najważniejszy — to bieda. Nęci jedzenie, płaca, mundur prawie darmowy, ewentualnie koszary. Komorne przestaje być zmorą.

Potem w hierarchji powodów idzie bezczynność. Przecież każdy Niemiec jest wychowany w tradycji szacunku i konieczności pracy. Jest przeważnie zdrowy i czynny. Brak zajęcia był dla niego i upokorzeniem i poprostu torturą fizyczną. Świadomość, że partja, choćby od czasu do czasu, będzie go potrzebowała, że powierzy mu jakąś funkcję, choćby maszerowanie w szeregu, musi grać tu rolę rozstrzygającą.

Znowu dygresja. Tajemnicą chyba pozostanie przyczyna świetnego wprost stanu fizycznego tej niemieckiej młodzieży, trwającej w biedzie i bezczynności od tylu lat. Sporty, kult ciała, słońce i woda — to wszystko istnieje i w Polsce. A jednak kiedy w dzień po moim powrocie z Niemiec widziałem defiladę polskiego Przysposobienia Wojskowego i porównałem tych chłopców z ich niemieckimi rówieśnikami, mimowoli nasunęła mi się myśl, czy za czasów Grunwaldu stosunek fizyczny naszych ras był taki sam? A jeżeli tak, to co zwycięża? Przypuszczam, że młodzież niemiecka jest dziedzicznie obciążona zdrowiem i skutkami wysokiej stopy życia. Kilkanaście lat nędzy nie może widocznie zniszczyć tego dorobku. A znowu u nas: przypomnijmy sobie, jak wyglądał przedwojenny gimnazista, nawet z zasobnej inteligenckiej rodziny. Wszak był to żywy pomnik wystawiony złej przemianie materji. Dzisiaj jednakże

postęp jest ogromny.

Powracam do wykładu o popularności SA. Dalszy powód: to strach. Jakaż znikoma ilość młodych ludzi w Berlinie nie należała do jakiejś organizacji, szczególnie zważywszy typowo niemiecki pęd do skupiania się pod jakimś sztandarem. Za Republiki Weimarskiej, a zwłaszcza w samym Berlinie ugrupowania te, choć może niepolityczne, były jednakże przeważnie postępowe. Trzeba tę wstydliwą przeszłość zamazać. Można jeszcze stracić posadę, jeżeli się ją ma. Jak lepiej zamanifestować swą lojalność, niż wstępując do SA?

Przyjaciel Kurta, pracujący w dużym domu handlowym, został wezwany przez szefa oddziału osobowego i zapytany, czy należał kiedy i do jakiej partji, lub też organizacji. Odpowiedź była negatywna. „A obecnie należy pan?“ „Też nie“. „No to żałuję. Będziemy musieli się rozstać“. Rozpacz urzędnika; pyta się co ma uczynić, aby pozostać na stanowisku. Słyszy odpowiedź: „Może moglibyśmy pana zatrzymać, gdyby pan np. wstąpił do partji“.

Czy podobnych wypadków przymusu było wiele, zanim nastąpiło zamknięcie szeregów partji — niesposób sprawdzić.

Powodem nie do pogardzenia jest też żądza władzy. Tkwi ona prawie w każdym z nas. Więc cóż dziwnego, że nerwowo i fizycznie wynędzniały bezrobotny, który jeszcze niedawno może nawet żebrał, a dzisiaj nagle ma sposobność rozkazywania i każdy cywil musi go się bać, — nie umie oprzeć się tej pokusie.

Wreszcie jednym z powodów jest sobie mała, że tak powiem: żydowska (horribile dictu) kombinacyjka. A mianowicie: wiadomo jest, że od dn. 1 stycznia 1934 r. będzie wprowadzona obowiązkowa służba pracy: taka, jaka naprzykład istnieje już w Bułgarji. Młody człowiek, odpowiadający mniejwięcej fizycznym warunkom, potrzebnym dla służby wojskowej, zostanie wciągnięty do specjalnych kadr, będzie umundurowany, skoszarowany czy „zobozowany“, będzie użyty do robót meljoracyjnych, drogowych, budowlanych i t. p. i oczywiście, będzie przechodził musztrę wojskową. Służba ta może być ciężka. Ale ci, którzy wstąpili już do SA i obecnie odbywają przeszkolenie wojskowe, mają wszelkie szanse, że będą użyci w tych kadrach pracy — jako wyższe szarże.

W późniejszej rozmowie z jednym z moich przyjaciół, który jest grubą rybą w ruchu narodowo-socjalistycznym, ze złośliwą satysfakcją zapytałem się go, czy prawdą jest, jakoby strach przed pracą przymusową w styczniu przyszłego roku był już obecnie przyczyną żywiołowego wstępowania do SA. Powiedział, że nigdy się nad tem nie zastanawiał, że nie jest to wykluczone, i widać było, że biedakowi zrobiło się bardzo smutno. Widocznie obliczał, że drogie jest dyskonto zapału.

Rozmowa nie klei się. Kurt zamilkł. On twierdzi, że stoliki stoją za blisko siebie. Bo prawdą jest, że nigdy w życiu nie widziałem tylu „plotkujących“ głów, co w lokalach berlińskich. Każdych dwoje ludzi to, przysiągłbyś, para zakochanych, tak sobie czule szepczą w uszko. A na ulicy mundurowiec ostrogami dzwoni. Jak widzimy, role są

podzielone.

Wychodzimy więc na ulicę. Kurt czuje się tu znacznie swobodniej. Wylewa też na mnie całe katarakty „kawałów“. Większość ich, jak wszystkich „kawałów“ świata, jest nie do powtórzenia. Ale tych, na zagranicę cenzuralnych, o charakterze czysto politycznym, jest też cała masa. Należy je opowiadać jednakże oględnie (od słowa „oglądać się“). Sąd się rzadko śmieje, a jest już wyjątkowo drażliwy na punkcie kwestji spalenia Reichstagu. Za powtarzanie jednej z dwuch następujących dykteryjek kilku, może nawet nie wybitnie kontrrewolucyjnych „kawalarzy“, zostało skazanych na półtora roku więzienia.

Więc pierwsza dykteryjka. Wieczór pożaru w Reichstagu. Goering siedzi u siebie. Nagle wpada służący i woła: „Ekscelencjo, Reichstag się pali“. Na to Goering spogląda flegmatycznie na zegarek i mówi „Ach, już?“.

Druga dykteryjka osnuta jest na tle faktu ze śledztwa w sprawie van der Lubbe‘go, rzekomego podpalacza. „Dlaczego van der Lubbe‘mu spaliła się w Reichstagu koszula?“ „Bo była bronzowa“.

A teraz — skąd ta, zdawałoby się, przesadna wrażliwość na tym właśnie punkcie? Otóż pamiętajmy, a mało kto w Europie zdaje sobie z tego dzisiaj sprawę, że Hitler został wybrany i wywyższony wolą narodu. Że naogół, i wszyscy są tego zdania, wybory marcowe nie były fałszowane. Rządzi więc Hitler pełnoprawnie. A prowokacja ze spaleniem Reichstagu jest tą przykrą, brudną i śmierdzącą (spalenizną) sprawką, o której chciałoby się corychlej zapomnieć. Ogień wogóle wiele krzywdy wyrządził

reputacji Trzeciej Rzeszy. Ale chociaż już Reichstag nie był tą Ablową ofiarą, której dym szedł prościutko w niebo, to swąd palonych dn. 10 maja książek rozpełzł się gryzącym oparem po całym świecie. Historja ze spaleniem książek uczy nas, że nie to jest ważne w następstwach, co jest ważne samo przez się, ale tylko to, co zapładnia ludzką wyobraźnię.

Weźmy dla przykładu katastrofę „Titanica“ i pierwszą lepszą bitwę podczas Wielkiej Wojny. Ginęło tam gwałtowną śmiercią kilka, kilkanaście lub kilkadziesiąt razy więcej ludzi niż na „Titanicu“, i to wyłącznie młodych i zdrowych. Drugie tyle wychodziło z tej imprezy — kalekami. Ale „Titanic“ był i pozostanie zawsze jakoś bardziej fotogeniczny.

To samo z książkami spalonemi na Opern-Platz‘u dn. 10 maja. Kiedy się tam tak, jak ja, stało i widziało brak entuzjazmu, a przedewszystkiem obserwowało małą, w porównaniu z możliwościami miejsca, spektaklu i propagandy, liczebność tłumu; kiedy słyszało się zażenowane wyjaśnienia ludzi w ruchu narodowo-socjalistycznym wybitnych, tłumaczących, że młodzież musi jakoś ogniście i ciepło zamanifestować swoje zwycięstwo; kiedy się widziało, jak dalece rząd wolałby, żeby palenie wogóle nie doszło do skutku, cały ten dziki obrządek musi się wydać jednak mniej potworny, niż wydał się w pierwszej chwili słusznie oburzonej opinji kulturalnego świata.

Najciekawszym fenomenem jest tu nie masowa psychoza, którą tak łatwo wywołać hasłami nienawiści, ale

fakt braku odwagi cywilnej ze strony rządu, który nie potrzebował chyba bać się studentów, a jednakże pomimo obawy rozgłosu, jaki musi wywołać to auto-da-fé, nietylko go nie zabronił, ale jeszcze wydelegował swego ministra propagandy Goebbels‘a, i ten o północy, choć stosunkowo jak na siebie umiarkowanie, ale jednakże przemawiał nad palącym się stosem.

Choć prasa codzienna dała liczne sprawozdania z tej smutnej ceremonji, przypuszczam, że warto przypomnieć pobieżnie jej przebieg. Pochód studentów uformował się gdzieś na przedmieściu i ruszył, odwiedzając po drodze składy skazanych książek.

Jak się do tych książek doszło?

Otóż przez kilka dni przed paleniem wszystkie pisma zamieściły wzmianki, że każdy kto życzy sobie przyłożyć rękę do dzieła niszczenia niepożądanej literatury, winien szkodliwe dzieła wyjąć ze swego księgozbioru, zapakować, zaadresować i wysłać pocztą pod wskazany adres. Wskazówek udzielono nadzwyczaj dokładnie i szczegółowo. Można też było osobiście odnieść książki do lokalu, gdzie je zbierano. Ale mowy nie było nigdzie, żeby ktoś naprzykład spalił u siebie w kuchni pod płytą lub na kominku zbiorowe dzieła Heine‘go czy Spinozy. Bez demonstracji taki akt wewnętrznej, domowej moralności nie byłby nic wart.

Zresztą ani Heine, ani Spinoza na liście palonych książek nie figurowali. Są to jednak wyjątki, których panujące nastroje nie usprawiedliwiają. Prasa wciąż tylko judzi i wprost tarza się w tych najgorszych absurdach, jakie

wypływają z przeprowadzenia jakiejkolwiek myśli do jej ostatecznego, logicznego końca.

Drugiem źródłem takich „rozkładowych“ książek była „czistka“ przeprowadzona w bibljotekach takich, jak związku urzędników państwowych czy innych kompletnie rządowi podległych. Nie było konfiskat książek ze sklepów czy też wypożyczalni o charakterze handlowym. Nie robiono też „czistki“ w bibljotekach instytucyj naukowych. Wprawdzie we Wrocławiu studenci zagrozili, że przystąpią do rewizji po domach prywatnych, ale do tego nie doszło. Zresztą cyfra 20.000 spalonych tomów świadczy, że palenie było aktem symbolicznym i nie zmierzało do faktycznego zniszczenia niepożądanych dzieł.

Książki załadowano więc na trzy ciężarówki, udekorowane hitlerowskiemi flagami. Pochód nie był liczny. Składał się z korporacyj z ich orkiestrami i ze studentów niosących pochodnie. Ludność, że tak powiem, cywilna nie brała w nim udziału. Jednakże, ponieważ maszerowano w formacjach wojskowych z dużemi odstępami między poszczególnemi grupami, pochód ciągnął się dość długo. Czas jego przybycia na Opernplatz wyznaczony był na jedenastą wieczór. Już o dziewiątej pięciometrowy pas, pozostawiony dla publiczności wokoło prostokątnego placu, był ściśle wypełniony widzami. Środek placu, odgrodzony sznurami, patrolowała policja. Pośrodku stał stos belek, mający 3 metry sześcienne objętości, a na specjalnem podjum ustawione były jupitery, aparaty kinowe i mikrofony. Oczywiście i dachy i okna, okalających plac gmachów, miały swój komplet

publiczności. Jednakże oba końce czworoboku wogóle się nie zapełniły, tak, że nawet ruch kołowy na Unter den Linden nie był ani na chwilę wstrzymany. Gdyby w pogodny letni wieczór zatrzymać ruch spacerujących po Unter den Linden, między Zamkiem a Bramą Brandenburską, — nie stworzyłoby to chyba mniejszego zbiegowiska. Prawda, że na godzinę przed nadejściem pochodu spadł mały deszcz, ale wnet się wypogodziło.

Tłum, wśród którego stoję, nie powitał nawet nadchodzącego pochodu. Jest pogodny, bo niemiecki, bo jest wiosna. Przeważnie każdy mężczyzna jest ze swą niewiastą. Zainteresowanie, odzwierciadlone na twarzach należy do kategorji — letnich. Jedyne okrzyki pochodzą od maszerujących studentów i od tych, którzy jadąc na ciężarówkach, powiewają wielkiemi flagami ze swastyką. Pochód bardzo sprawnie wkracza i rozmieszcza się na środku placu. Stos okrążają i rzucają nań pochodnie; tak powstaje historyczny płomień. Muzyka wciąż gra. Nagle słychać przemówienie jakiegoś profesora. Skolei występuje dwunastu studentów kropka w kropkę jak nasze dzielne korporanty, kompletni z „deklami“. (Dekiel — to jakoś nie po polsku brzmi? Czyżby to przyszło od zachodniego wroga razem z tak histerycznie opłakiwanym ustrojem uniwersyteckim?) Każden ma książkę w ręku i wymawiając pokolei tę samą rytualną formułę: „Powierzam płomieniom dzieła (dajmy na to) Karola Marxa“, wrzuca książkę do ognia.

Ogólne wskazówki co do autorów, których należy palić, były następujące:

Najgorsi to pacyfiści: np. Ludwig Renn.

Potem (o, subtelności!) książki specjalnie zohydzające Wielką Wojnę: Remarque.

Następnie historje wojny światowej w duchu pacyfistycznym.

Książki krytykujące Mussoliniego i faszyzm. Tu wstawka. Rozeszła się pogłoska, że palono dzieła Pitigrillego, jako pornograficzne, ale zaraz nazajutrz w pismach ukazało się sprostowanie, że to nieprawda, że gdzieżby palono dzieła najwybitniejszego humorysty zaprzyjaźnionego narodu włoskiego.

Oczywiście, zbiorowe dzieła Marxa i Lenina. Tego biednego Marxa, który takie straszne rzeczy wypisywał o Żydach.

Później wogóle autorów żydowskich, jak Lion Feuchtwanger, Emil Ludwig, Jakób Wassermann, Arnold i Stefan Zweig‘owie, Kurt Tucholsky, Ernst Toller, Theodor Wolff, Alfred Kerr, Alfred Döblin, Arthur Holitscher, Egon Erwin Kisch, Bernhard Kellermann, Leonhard Frank, Franz Werfel, Vicky Baum i t. d.

Specjalnie wyróżnieni: żydowscy burzyciele obyczajności — czytaj: Magnus Hirschfeld.

Potem następuje długa lista już całkiem niespodziewanych autorów. Powód dla którego zostali spaleni, pozostanie nazawsze fascynującą zagadką. Bo skoro jako kryterjum wysuwa się, że są obcy duchowi narodowego socjalizmu, to autorów takich znalazłoby się znacznie więcej, niż ich było na liście, choćby wspomniany już Goethe. Należą tu: Thomas i Heinrich Mann‘owie,

Erich Kästner, Bertha von Suttner, Foerster, Upton Sinclair, Ernest Hemmingway i nawet, zdawałoby się niewinny, Jack London.

Dwunastu „Kulturträgerów“ zrobiło swoje i ustąpiło miejsca liczniejszej grupie towarzyszy, którzy tworzą żywy łańcuch pomiędzy ciężarówkami a stosem, podając sobie z ręki do ręki książki, aż ostatni, stojący przy samym ogniu, podrzucają je wysoko w górę, a te, rozwarłszy białe swe kartki opadają, oświetlone zdołu płomieniem, zupełnie jak ptaki. Przychodzi chwila nieznośnego dla mnie wzruszenia. Jakiś szalony żal chwyta mnie za gardło i wyciska łzy z oczu. Nie mogę przemówić do Kurta. Żal tych książek jako ginących przedmiotów; żal tego narodu, który okrywa się wstydem. Wstyd, że ja, cudzoziemiec, gapię się na tę ich „rodzinną“ hańbę. W jednej chwili ten wspólny wstyd zasymilował mnie. Chyba nigdy nie poczułem się zagranicą tak bardzo miejscowym, tak bardzo niemcem. Pomyślałem o uroczystościach weimarskich z przed roku. Ciągle ta myśl powraca.

A tymczasem muzyka gra. Ci, co biorą udział w obrządku, wiwatują umiarkowanie, a jupitery chodzą po placu, jak beznadziejne latarnie morskie.

Nagle cisza. Przemawia Goebbels. Źle słychać, tylko od czasu do czasu można rozróżnić pojedyńcze słowa i ten specyficzny ryk, jaki wydają przewódcy narodowego socjalizmu, kiedy chcą naprawdę zawładnąć tłumem. Robi to i Hitler i Goebbels; najmniej Goering. Żadna parodja przemówienia nie potrafi oddać tego demagogicznego tonu. We mnie budzi to zawsze śmiech.

Po krótkiej mowie ministra propagandy, tłum blisko stojący, wznosi okrzyki na jego cześć, a reszta dalej trwa w zupełnie gapiowskiej bierności. Dopiero przy pierwszych dźwiękach hymnu hitlerowskiego „Horst Wessel Lied“ cały tłum ożywia się i śpiewa z zapałem wszystkie trzy zwrotki. Muszą wydać się one nieskończenie długie dla tych, których ukłon faszystowski, trwający dobre pięć minut, — nuży. Bo wszyscy mężczyźni okrywają głowy, a „rączka do góry“ obowiązuje bez względu na płeć. Oglądano się trochę na mnie, że nie wykonywam tych gestów, ale nikt mnie w tej sprawie nie zaczepił.

Koniec ceremonji. Tłum się rozchodzi. Ogień dogasa. Strażacy pomagają sikawką. Z popiołu robi się błoto. W tem błocie wszyscy szukają pamiątek. Przez kilka następnych dni wśród moich „nieodrodzonych“ znajomych odbywały się prawdziwe licytacje na te pamiątki, znane pod ogólnym mianownikiem: „Von dem Feuer gerettet“. Ja osobiście zdobyłem dwa trofea. Jedno to duży, na kartonie naklejony plakat: reklama powieści Remarque‘a „Na zachodzie bez zmian“. Ze względu na rozmiary musiałem go niestety zaraz podarować. A drugie, to karta pocztowa — formularz dla pragnących zapisać się na członków Światowej Ligi Reformy Seksualnej. Pod oficjalnym adresem Ligi w nawiasie: dr. Magnus Hirschfeld. Ten szacowny, choć w błocie zbrukany dokument, mam zamiar ofiarować polskiemu oddziałowi Ligi, czem niewątpliwie zyskam sobie serca wszystkich współpracowników „Życia Świadomego“.

Jako pocieszający szczegół tej smutnej historji można

przytoczyć, że w czasie pochodu studenci na ciężarówkach gorączkowo wyszukiwali i odkładali dla siebie nabok co pikantniejsze dzieła. To tylko dowodzi, że i hitlerowska młodzież jest ludzka.

Powyższe sprawozdanie palenia książek jest zgodne z prawdą, i niech nikt nie wierzy histerycznym opisom, spotykanym w prasie: bachanalja, sobótka (była to środa), indjańskie tańce, afrykańskie ryki. Nic podobnego. Było tak, jak opisałem.

*Tekst jest **własnością publiczną** (**public domain**). Szczegóły licencji na stronie autora: Antoni Sobański.*

REWOLUCJA.

Rewolucja! Czyż naprawdę? Bezwzględnie tak. W Niemczech dokonywa się rewolucja, i to w „najczystszej“ formie. Nie mam pod ręką encyklopedji, ale jestem pewien, że oficjalne określenie rewolucji da się „bez reszty“ zastosować do wypadków niemieckich. Pozatem nikt w Niemczech temu nie przeczy, przeciwnie, podkreśla się nawet i wygrywa tę okoliczność, zaznaczając zresztą, że rewolucja jest bezkrwawa. Z opinją tą nie może się pogodzić postronny obserwator, gdyż często krew nie da się ukryć. Ale w tych wypadkach jest znowu gotowa odpowiedź: „Musi tak być, bo w Niemczech jest rewolucja“. Zaznaczam, że jestem utopistą i że nie mogę opierać się na precedensach. Ale czyż naprawdę rewolucja musi być zawsze bardzo straszna? Widocznie że tak. Ale jeżeli tak, to trzeba się zachowywać bardziej po-piłatowemu, z większym chlupotem i bardziej publicznie myć ręce, drzeć szaty, no i nie wpadać samemu we własne credo. Tych, dla których krew zaczyna się od wymordowania kilkunastu tysięcy ludzi, wypadki w Niemczech rozrzewnią, jak widok prawie nieskalanie białej sypialni panieńskiej. Jeżeli w obronie tezy „bezkrwawości“ sowieckiego régime‘u przytoczymy jako argument dowodowy istnienie na wyspach Sołowieckich obozów dla

więźniów politycznych, czy quasi-politycznych, to oczywiście, i w Niemczech te rzesze, skoncentrowane w Sonnenburgu, Oranienburgu i w wielu jeszcze innych obozach i więzieniach, będą cichym szeptem świadczyły za siebie: „Żyjemy, tak — jeszcze troszeczkę żyjemy“. Bo człowiek, żeby użyć terminologji myśliwskiej, to drobna zwierzyna. To nie pierwsza kula się liczy, tylko ostatni strzał.

Wiem niestety dobrze co robię: jestem narzędziem „Greuelpropaganda“ (propaganda grozy). To najbardziej niewybaczalna zbrodnia, jaką zna Trzecia Rzesza. Z każdym raportażem, ale zwłaszcza z tym obecnym, widoki na wizę niemiecką dla mnie maleją. Boli mnie to. Boli, bo lubię jeździć do Niemiec; bo mam tam bliskich mi ludzi; bo mi tam przeważnie jest ciepło na sercu; bo jest to najbliższy Polsce kraj, gdzie istnieje przyjaźń i prostota stosunków innych niż rodzinne; bo, i tu bądźmy szczerzy, jest to o dziesięć godzin od Warszawy, jeżeli chodzi o warunki życia, Europa całą gębą i lepiej nawet, bo z domieszką Ameryki; a poza tem wszystkiem i to jest bez porównania najważniejsze i najboleśniejsze — bo nikt w biurze paszportowem i mało kto z moich niemieckich przyjaciół zrozumie i uwierzy, ile ja w te moje „sprawozdania“ włożyłem uczciwej życzliwości i szczerej, prawie rzewnej przyjaźni.

Spotkałem się kilkakrotnie ze zdaniem, pochodzącem od dziennikarzy zagranicznych w Berlinie, że akty terroru są objawem tak dalece przejściowym, że nie warto im poświęcać myśli oraz miejsca w prasie. Nie godzę się z tem

zdaniem. Moralne następstwa podobnych okresów dla ludzi, którzy czynnie je przeżywają, są tak doniosłe, że wiele historycznych postaci w Europie dzisiejszej pozostałoby dla nas zagadkowymi dziwolągami psychologicznymi, gdyby się o nich nie wiedziało, że wyrosły w atmosferze gwałtu i spiskowania po suterenach czy też gabinetach ministerjalnych.

Cóż więc myśleć o tych objawach brutalności rewolucji? Dużo o nich słyszałem przed wyjazdem z Polski. Znacznie mniej po przyjeździe do Berlina. Zrozumiałe to jest z wielu względów. Prasa europejska, zwłaszcza lewicowa, rozbrzmiewa tą „Greuelpropaganda“. W Niemczech o podobnych sprawach nawet pisnąć nie wolno. Nie było chyba jednego artykułu czy wzmianki wypowiadających sąd, albo ubolewanie z powodu jakiegoś aktu terroru dawno już znanego ogółowi. Co do prasy zagranicznej, ciekawe jest, że pisma np. angielskie, z konserwatywnym „Times‘em“ na czele, podają znacznie więcej szczegółów okropności niemieckich i częściej to czynią niż polska prasa. A chyba sympatja i wyrozumiałość dla Niemiec są bezwątpienia większe w Anglji niż w Polsce. Tłumaczę to sobie tem, że głównem źródłem informacyj o dzisiejszych Niemczech prasy polskiej są korespondenci polskich agencyj urzędowych lub półurzędowych, albo też pism polskich pośrednio lub bezpośrednio podległych rządowi. Rozumiem też, że obecny rząd w Polsce zwalcza przedewszystkiem skłonność do hecy w społeczeństwie i w wewnętrznem życiu politycznem. Spokój opinji polskiej stał się dziś najsilniejszą kartą w trudnej grze, jaka

przypadła polskiemu ministerjum spraw zagranicznych. Jeżeli więc powściągliwość prasy w Polsce jest inspirowana zgóry, należy fakt ten tylko pochwalić. To co dalej napiszę, może nie będzie zupełnie w duchu tej polityki. Martwi mnie to. Pisać będę z poczucia uczciwości reportażysty, a nie z lojalności dla „europejskiej racji stanu“. I tu nie jestem zupełnie w zgodzie z własnem sumieniem.

Tymczasem powracam raz jeszcze do prasy niemieckiej. Próżno w niej szukać materjału bezpośrednio rzucającego cień na łagodność rządów Hitlera. Kłamliwość tej prasy jest tak zupełna, tak (oczywiście z musu) bezczelna, że trudno do niej przywyknąć. Czytając z gruntu fałszywy opis faktów, które się zna dokładnie, nie można powstrzymać się z początku od myśli, że zaszło tu jakieś nieporozumienie. Przytoczę dla przykładu półoficjalną, inspirowaną wzmiankę z okazji zajść przed redakcją pisma niemieckiego w Łodzi. Twierdzi ona prawie przekonywająco, że żaden obywatel polski na terenie Rzeszy nie ucierpiał szwanku na ciele lub majątku.

Drugi przykład jest mniej banalny. Richard Billinger, to jeden z najzdolniejszych poetów młodego pokolenia. Ten rosły jak dąb, barczysty chłop bawarski nie jest zaangażowany politycznie, aczkolwiek wiadomo, że sympatje jego są bezwątpienia po stronie liberalizmu. Nagle w wielkanocnym numerze urzędowego organu narodowych socjalistów „Völkischer Beobachter“ ukazuje się podpisany przez niego, pod względem formy słaby, pod względem treści płaski, wiersz deifikujący Hitlera[1]. Naturalnie budzi to zdumienie. Czyżby i Billinger przeszedł na podwórko

rewolucji, śladami Stefana George‘a i Borchardta? Tylko że tamci, to ludzie, którzy nie mieli nigdy styczności z życiem. Ich opowiedzenie się za ruchem Nazi nie jest nawet poczytywane przez ogół niezależnej opinji literackiej za zdradę, a prędzej za dziwactwo i słabość ludzi, których partja potrafiła wyzyskać. Ale Richard Billinger! Mija trzy tygodnie. Jeden z moich znajomych spotyka Billingera. Nie wie dobrze, czy mu się ukłonić, ale ten podchodzi i z miejsca opowiada swoje zmartwienie. Wiersza, o którym była mowa, nigdy nie napisał; od trzech tygodni chodzi od redakcji do redakcji, starając się umieścić sprostowanie, ale żadne pismo nie ma odwagi wydrukować go. Prosi więc tylko teraz przyjaciół i znajomych, aby to sprostowanie podawali sobie z ust do ust.

Jakie pisma warto więc czytać? Przedewszystkiem zagraniczne. Dużo się w nich człowiek dowie o wypadkach w Niemczech z dnia poprzedniego lub sprzed dwu dni. Zważywszy sterroryzowanie prasy miejscowej, aż zdumiewa fakt, że na każdym rogu ulicy można kupić perjodyk tak gwałtownie antyhitlerowski, jakim właściwie jest każda gazeta zagraniczna. Miałem dziwny odruch, jadąc kiedyś autobusem. Czytałem „Times‘a“ i spostrzegłem, że jakiś pan, wyraźnie Niemiec, zaglądał mi przez ramię i starał się też czytać. W jednej chwili złożyłem gazetę. Moją instynktowną reakcją było usunięcie z przed oczu tego człowieka czegoś wysoce gorszącego i przewrotnego. Znajomych Niemców nie spotkałem na ulicy z dziennikami zagranicznymi. Dawniej, pamiętam, zawsze je czytali.

Z pism niemieckich warto przeglądać głównie dwa: „Deutsche Allgemeine Zeitung“ i „Vossische Zeitung“. Pierwsze, które było zawsze świetnie redagowanym organem zachowawczym, nie miało wśród swych współpracowników ani jednego Żyda. Trudno więc znaleźć pretekst do szykanowania takiego pisma. „D. A. Z.“, jak ją popularnie zwą, poddała się pozornie „koordynacji“. Dość jednak zręcznie operuje metodą a contrario, głównie w obronie spraw kulturalnych w najszerszem zrozumieniu tego słowa. W kwestjach polityki zagranicznej nie stanowi, jak i nie stanowiła, wyjątku w stuprocentowo jednolitym froncie prasy niemieckiej. Pod tym względem i socjaliści i katolicy śpiewają unisono. Jedynie pisma o tendencjach pacyfistycznych, rzecz prosta, dziś już nie istniejące, stwarzały mały wyłom w tym „zaczepnym“ murze.

„Vossische Zeitung“ zaś jest tem ciekawa, że można znaleźć w niej więcej „samobójstw“, „śmierci w więzieniu na chorobę nerek“ i wogóle aresztowań i t. p. Znaleźć, oczywiście, nie na pierwszej stronie, ani u góry szpalty, ale sumienny czytelnik nie może tego przeoczyć.

Co z tego, co w Niemczech nazywa się „Greulhetze“, można uznać za prawdę? Zgóry należy zaznaczyć, że od końca kwietnia do połowy czerwca bujność rewolucji przechodziła pewien stan zmniejszonej żywotności. „Greulpropaganda“ znajdowała mniej odżywki. Wydaje się, że teraz wraz z gwałtownym zwrotem przeciwko Stahlhelmowi, niemiecko-narodowym, Centrum, Bawarskiej Partji Ludowej i katolikom wogóle, — okres gwałtów znowu się rozpocznie. Ale tym razem aparat

tajemnicy doprowadzony już zostanie do prawie idealnej hermetyczności, i wprost z politowaniem patrzeć będziemy na te prostackie metody z marca b. r., kiedy to rewolucja była jeszcze w powijakach (choć i teraz to dziecko drze się wniebogłosy).

Od czego tu zacząć? Czy zabijano? Tak. I bezpośrednio i przez bicie w Brunatnych Domach. Okrucieństw i zabójstw dopuszczali się tylko SA. Policja i władze więzienne były i są całkiem „correcte“. Stahlhelm także jest zupełnie wolny od wszelkich zarzutów w tym względzie. Główna kwatera SA była otoczona w pierwszych miesiącach po objęciu władzy przez narodowych socjalistów nimbem grozy, którą trudno opisać. Mało kto zawieziony tam, wychodził cało. Albo ślad ponim wogóle ginął, albo odnajdywano go z trudem w mniej lub więcej ciężkim stanie w szpitalu, lub też po tygodniach poszukiwań przychodziła wieść, że jest w obozie koncentracyjnym czy w więzieniu. Komunikowanie się ze znajomymi czy krewnymi pozbawionymi wolności jest rzeczą prawie niemożliwą.

Czyta się czasem, że ktoś w więzieniu umarł na serce lub na nerki (wiadomo — były odbite), ktoś popełnił samobójstwo, że ktoś został zastrzelony w czasie ucieczki. Jeżeli starszy pan z brzuszkiem, a nie zawodowy ptaszek więzienny zamyśla ucieczkę z instytucji karnej, musi naprawdę czuć się tam nieświetnie. Z powodu szalejącej zagranicą „Greuelpropaganda“ władze urządziły dla prasy zagranicznej zwiedzanie więzienia politycznego. Do każdej celi razem z dziennikarzami wchodził dyrektor zakładu i proponował więźniowi, żeby się na coś w swym obecnym

trybie życia poskarżył. Można sobie łatwo wystawić przestraszone milczenie lub jeszcze bardziej przestraszone pochwały ze strony zapytanego. Jeden tylko kupiec-Żyd odpowiedział na pytanie talmudycznie: że mu się tak powodzi jak w panujących warunkach powodzić się może. Podobno miał tej swojej subtelności słownej później dotkliwie pożałować.

W pierwszych dniach rewolucji działy się rzeczy naprawdę groźne. W wielu wypadkach bojówkarze z SA załatwiali swoje osobiste porachunki i rachunki, bijąc lub zabijając zupełnie bezkarnie wrogów lub poprostu wierzycieli. Nie podam tego szczegółu w reportażu poświęconym kwestji żydowskiej, gdyż krawiec, oczywiście Żyd, który sprzedał hitlerowcowi ubranie na raty, cierpiał nie jako ofiara nienawiści rasowej, ale raczej okrutnej konjunktury finansowej u swego oprawcy. Dziś takie porachunki osobiste są nie do pomyślenia i chyba ostatecznie należą do przeszłości. SA wzięto jednakże trochę w ryzy.

Co do bicia i wypuszczania potem na wolność, przekonano się, że system ten jest tem słaby, że wypuszczeni zawsze muszą coś wygadać. Więc dziś naogół albo zamykają bez pastwienia się nad ofiarą, albo też niepożądany osobnik przepada bez wieści. Gdzieś, w jakimś lasku, dostaje kulą w łeb. Na likwidowanie zwłok znajduje się też różne pomysłowe sposoby.

Myśl moja zwraca się tu ku cudnej, liberalnej, nieznającej twardych wymogów racji stanu Polsce, gdzie tyle wylano (i ja wraz z innymi) łez i atramentu nad

odosobnionemi incydentami podobnej natury. Teraz Polacy będą mogli sobie pozwolić na bardziej intensywną kampanję aktów bezprawia, gwałtu i terroru i jednocześnie zachowają prawo oburzania się na zachodniego sąsiada.

Chodzą słuchy, że teraz, o ile w Braunes Haus biją czy też stosują olej rycynowy (piękny ten obyczaj przyszedł z Włoch razem z ukłonem faszystowskim), operacja ta odbywa się zawsze w obecności lekarza.

Ale co tu można wiedzieć napewno? Terror jest kompletny. „Und niemand klagte, wer genass“, czy też prawie „niemand“. Poselstwo polskie posiada zresztą pod tym względem ciekawy dokument. Pobity obywatel polski złożył skargę do poselstwa, a po jakimś czasie nadesłał list z prośbą, żeby jego sprawę umorzyć; przyczem tłumaczył, że wprawdzie go bili, ale dopiero teraz zrozumiał, że mieli rację, że wszystko co się robi w imię Gleichschaltung — jest słuszne.

A iluż to ludzi nie wniosło wogóle zażaleń. Zbyt już byli szczęśliwi, że uszli z życiem i że teraz mogą zapaść w szary tłum. Wszystko to zresztą dotyczy tylko tych, którzy do jakiejś opieki mają wogóle prawo: mam na myśli cudzoziemców.

Ważnym powodem, dla którego zmniejszyła się ilość gwałtów, jest wypowiedzenie się rządu przeciwko wykonywaniu aresztowań przez bojówkarzy, a za pozostawieniem tej funkcji właściwemu organowi, czyli policji. Z Polizeipräsidium na Alexanderplatz idzie się tylko do więzienia albo obozu, ale nigdy do Braunes Haus, czy też do jakiegoś berlińskiego odpowiednika lasku

sękocińskiego.

Przedłużałem sobie prawo pobytu w temże Polizeipräsidium i pomyślałem, że jednak wszystko nie wygląda tak doskonale, skoro tyle płaczących kobiet snuje się po korytarzach i siedzi godzinami w poczekalni.

Jak dalece wszystko, o czem wyżej piszę, jest znane społeczeństwu niemieckiemu? Śmiało można powiedzieć, że w 90% jest całkowicie nieznane; a w dodatkowych 9% spotyka się z „entuzjastycznym sceptycyzmem“.

Wiedzą o tych sprawach ci, którzy wyraźnie wiedzieć chcą. A rzecz to nie łatwa. Wie zatem opozycja lewicowa, dyplomaci i zagraniczni dziennikarze. Partja komunistyczna wydaje ręcznie odbijane pisemko, które jest podrzucane zainteresowanym osobom. Arkusz ten jest istną skarbnicą dla każdego greuelpropagandzisty, gdyż dane w nim są ścisłe i prawdziwe.

Wśród znakomitej większości SA panuje też kompletne nieuświadomienie, co do poczynań „narodowej czrezwyczajki“. Zresztą widać, że ci różowi, roześmiani, zdrowi chłopcy w bronzowych koszulach nie katowaliby sami i nie dopuścili do katowania jakiejś starszej kobiety za to, że pan, u którego pracuje w charakterze sekretarki, popełnił straszną zbrodnię tłumaczenia w lokalu publicznym artykułu z „Daily Telegraph“ towarzyszowi, który po angielsku nie rozumiał. Oczywiście, i sam chlebodawca sekretarki oberwał za swoje i artykuł nie był zupełnie „po linji“. Incydent ten jest prawdziwy. Dodać jeszcze należy, że pobito w bestjalski sposób (jak zwykle zresztą — do utraty przytomności) także młodą

maszynistkę pracującą w tem samem biurze.

Czem biją? gumowemi pałkami; dość często, choć nie wiem dlaczego, kijami bilardowymi, lub też narzędziem, którego nie potrafię nazwać, ale postaram się opisać. Piętnastocentymetrowa, grubości dobrej laski, drewniana rączka; potem 20 cm. gęsto zwiniętej stalowej sprężyny (zwój ma 1½ cm. średnicy), dalej znów 20 cm. już trochę cieńszej sprężyny, a na końcu ołowiana gałka, mająca 3 cm. w przekroju; wszystko to obciągnięte skórą. Podobny instrument miałem sposobność oglądać na biurku u znajomego. Skóra była pęknięta na szwie i miejscami pokryta rdzą zaskrzepłej krwi.

Po kilku dniach spokojnego pobytu w Berlinie takie uwagi znajomych, jak „nie trzymaj notatek swoich w hotelu“, „uważaj co piszesz w listach“, „pamiętaj, że istnieje podsłuch telefoniczny“ (tak jakby w Polsce zapominało się o tem) — wydają się śmiesznie przesadne jak staropanieńskie zaglądanie pod łóżko. Podobno robiono rewizje w hotelach, jawne i tajne (à la Moskwa). Mnie się to nie przytrafiło. Łatwo jest być w Berlinie czas dłuższy, mieć stosunki i znajomych i przysięgać w zupełnie dobrej wierze, że terroru niema. Chyba, że szczęśliwy traf (o ty, przewrotne szczęście dziennikarskie) otworzy nagle człowiekowi oczy na zakulisową rzeczywistość.

Jakież więc było moje zdziwienie, kiedy w drzwiach restauracji, gdzieśmy byli umówieni, po godzinnem oczekiwaniu ujrzałem czerwoną, zmieszaną, choć energiczną twarz mojego przyjaciela, pół-niemca, pół-amerykanina — Billa. Czem jest naprawdę, w duszy, nie

wiem. Paszport ma amerykański, mieszka stale w Paryżu. Przeprasza, że się spóźnił, i opowiada, że całą noc nie kładł się spać i że ledwo żyje. Cóż się takiego stało? Poprzedniego dnia popołudniu dostaje telefon od Angielki, bony dziecka jego kuzynki, wzywający go natychmiast w bardzo ważnej sprawie. Kuzynka ta, także Amerykanka, jest żoną architekta — Berlińczyka, o sympatjach, o ile wiadomo, lewicowych. Bill wskakuje do taksówki, jedzie i dowiaduje się od zrozpaczonej bony, że pana zaaresztowano o północy, trzy dni temu; że, gdy przez dwa dni nie było o nim wieści, pani poszła do Polizeipräsidium. I oto minęła doba jak zniknęła. Bill natychmiast poruszył niebo i ziemię. Pomagał mu w tem jego paszport zagraniczny oraz kompletne opanowanie języka niemieckiego. Już nad ranem odnalazł swoją kuzynkę nieprzytomną w jakimś szpitalu. Przeszła była tej samej nocy amputację jednej piersi. Stan jej był ciężki. Z czasem dowiedział się, że skierowana z Polizeipräsidium do Braunes Haus, nie została tam poinformowana codo losów męża, ale zato kilkakrotnie zgwałcona, a pierś miała tak pogryzioną, iż operacja okazała się konieczna. Bill dowiedział się też, w jakiem więzieniu jest mąż, i że także jest ciężko chory. Obecnie od rana biega po wszystkich możliwych urzędach, aby uzyskać konieczną, kiedy chodzi o małoletnich, zgodę ojca na wywiezienie dziecka do Paryża, gdzie zajęłaby się nim żona Billa. Po nieprawdopodobnych perypetjach i wykazaniu niesłychanej energii — dopiął swego. Tego samego wieczoru byłem na dworcu, żeby go odprowadzić, i widziałem jak w paryskim

sleepingu instalował jeszcze podnieconą, choć starającą się odzyskać narodową flegmę, bonę oraz elegancko wystrojonego dzieciaka.

I pomyślałem sobie: komfort sleepingu, do sąsiednich przedziałów podają przez okna, najpiękniejsze w Europie, berlińskie kwiaty; bona — to wykwalifikowana nurse angielska, a dziecko, jak z żurnalu — i to ma być rewolucja.

Powyższy wypadek podaję jako ciekawą przygodę z czasów mojego pobytu w Berlinie, nie jako przykład tego, co się codzień zdarza. Miałem bezwątpienia „szczęście“ dotknąć się sprawy wyjątkowej. Do poselstwa polskiego napłynęło kilkaset skarg i opisów okrucieństw. Kilku obywateli polskich nie udało się wogóle odnaleźć; kilku siedzi jeszcze bez powodu ani sprawy w więzieniu; bardzo wielu leczy się ze skutków swej „obcokrajowości“. A jednakże gdy opowiedziałem w poselstwie o kuzynce Billa, — powiedziano mi, że pierwszy raz słyszą o czemś podobnem. Kobiety bito, choć rzadko, ale o podobnych bestjalskich aktach nikt dotychczas nie opowiadał.

Co do bicia, mamy zresztą oficjalną enuncjację. Członek biura spraw zagranicznych partji Nazi (taki sobie mniejszy Rosenberg), wysłany dla robienia propagandy w krajach skandynawskich i zapytany na konferencji prasowej w poselstwie niemieckiem w Kopenhadze, czy prawdziwa jest pogłoska o pobiciu pewnej starej komunistki, nietylko odpowiedział, że to nie jest pogłoska, lecz prawda, ale jednocześnie wyraził gorące uznanie dla podobnych metod.

Powracając do poselstwa polskiego jak również do opinji

zaciągniętej u innych dyplomatów, mających ciągłe stosunki z „Auswärtiges Amt“ — należy zaznaczyć, że wszyscy jednogłośnie chwalą sobie współpracę z tem ministerjum. Jest ono dość mało opanowane przez hitlerowców. Wódz nie wprowadził tak wielu nowych ludzi (pułkowników). A starzy (nie ze szkoły Rosenberga) dyplomaci niemieccy czują się oczywiście zażenowani niektóremi objawami panującego dziś w Niemczech bezprawia. Współdziałanie urzędników „Auswärtiges Amt“ w odszukiwaniu czy uwalnianiu cudzoziemców jest bardzo gorliwe, choć pomimo najlepszej woli niezawsze skuteczne. Tak się tedy dziwnie ułożyło, że osobiste stosunki pomiędzy tymi urzędnikami, a dyplomatami zagranicznymi nigdy lepsze nie były.

Pierwszy raz odkąd piszę o Berlinie użyłem przed chwilą słowa „bezprawie“. A choć wogóle jest ono ściśle związane z pojęciem rewolucji i choć w innych, bardziej typowych rewolucjach może objawiało się jaskrawiej, tutaj jednakże jest ono potencjalnie bardziej kompletne. Jest podniesione prawie do zasady, i tylko czasem bywa ubrane w formę prawną, zresztą tak naiwną, że to zakrawałoby zupełnie na humoreskę, gdyby ta hipokryzja prawna nie kosztowała wolności tysięcy jednostek.

Bezporównania najjaskrawszym przykładem takiego przemycanego bezprawia jest t. zw. „Schutzhaft“. Jest to stara, ze średniowiecza pochodząca forma aresztowania. Stosowało się ją, ażeby zapewnić bezpieczeństwo jednostce przez oddzielenie jej kratą więzienną od niebezpieczeństwa. Taki areszt mógł trwać niedłużej jak 24 godzin. Obecni

władcy najpierw przedłużyli ten dopuszczalny okres do 48 godzin, a później (duży skok) zaraz do 3 miesięcy. Ogromna większość tych tysięcy ludzi, którzy zapełniają dziś więzienia niemieckie, oraz tych, którzy przesiedzieli jeden albo kilka dni i zostali wypuszczeni nie wiedząc nawet, co było powodem pozbawienia ich wolności, właśnie z tej „obrony prawnej“, jaką jest „Schutzhaft“, korzystali. Trzy miesiące od pierwszych takich aresztowań już dawno minęły, co nie znaczy, że wdrożone sprawy przeciw uciemiężonym lub też że ich zwolniono.

Ale czyż można wyliczyć wszystkie objawy bezprawia i opisać całą garderobę płaszczyków, pod któremi się ukrywa? Jest jeden taki płaszczyk demagogiczny, w który wszyscy prawie wierzą jak w królewską koszulę z bajki Andersena. A mianowicie „zarzuca się“ osobom, które się chce zniszczyć, poprostu nieuczciwość. Urzędowe oświadczenie, że ktoś kradł, dopuszczał się nadużyć natury finansowej, wyzyskiwał swoje wpływy czy stosunki i t. p. — któż na całym świecie natychmiast w to nie uwierzy? Może jakaś zaślepiona matka, i to chyba nie w czasach dzisiejszych. Tylu tysiącom ludzi przypisano podobne sprawki, że opinja publiczna nie może się wprost połapać, czy wytoczono sprawy tym rzekomym kanaljom, czy zostali skazani. Wiadomo, że są zaaresztowani, że siedzą: dobrze im tak. A gazeta jutrzejsza przyniesie tyle nowych sensacyj, że o wczorajszych „panamach“ nie będzie czasu myśleć.

Tak łatwo przecie przyczepić się do ludzi operujących ogromnymi kapitałami publicznymi. Gdzie tylko jest

fundusz dyspozycyjny — tam szantaż murowany. Aż strach pomyśleć, coby się mogło stać, gdyby inny régime zastąpił obecny i chciał zastosować te same metody walki. Bo nie trzeba myśleć, że wszyscy narodowi socjaliści mają głęboką pogardę dla własnej kieszeni. Jeśli chodzi jednak o tę dziedzinę, plotek opowiada się niewiele, a skandali wogóle jeszcze nie było. Ludzie u góry są, zda się, uczciwi, choć oczywiście, jak i w innych krajach, zgrywają się na Diogenesów. Czasem ich beczka okazuje się beczką Danaid, ale w to nie wchodźmy. Hitler naprzykład całą swoją pensję kanclerską oddał na „cele“, skądinąd jednak wiadomo, że ma podobno niezły dochód z „Völkischer Beobachter“.

Powróćmy do rzekomych nadużyć. Zarzuca się je wszystkim „niedogodnym“. Tak aresztuje się hrabiego Eulenburga, osobistego przyjaciela syna Hindenburga. Prałat Kaas, były przewodniczący byłej partji Centrum, zaskoczony wypadkami zagranicą, postanawia pozostać w Rzymie ad infinitum, gdyż wie dobrze, że na granicy Niemiec byłby zaaresztowany pod zarzutem brudnych machinacyj pieniężnych. Wreszcie najskuteczniejszą bronią, która przyczyniła się do kompletnego zniszczenia organizacyj robotniczych i zawodowych, było rzucenie podejrzeń na czystość rąk przewódców związków zawodowych, Grassmanna i Leiparta, dwóch starych ludzi, znanych z prawości, uczciwości i bezinteresowności, którzy całe życie poświęcili sprawie robotniczej. Przeciw jednemu z nich wysunięto zarzut, iż pobierał „niesłychanie wygórowane wynagrodzenie“, bo aż 700 mk. miesięcznie.

Ale jak już wspomniałem, zarzut chciwości, choćby poparty tak śmiesznie słabymi argumentami, zawsze trafia do złośliwej łatwowierności tłumu. Tłum ten w Niemczech pozwolił i ze spokojem patrzał na zniszczenie przeszło półwiekowego dorobku i zdobyczy klasy robotniczej wogóle i partji socjal-demokratycznej w szczególe. Stracił on wiarę w uczciwość swych przewódców, i jednocześnie jakiś dziwny węzeł myślowy, jakaś psychoza kazała mu zobojętnieć na wszystko, co zbudował swemi oszczędnościami i ofiarnością, w co do tak niedawna święcie wierzył, jako w jedyną drogę do lepszej przyszłości. Klasowo uświadomiony Niemiec nie ma w co dziś wierzyć, więc mówi sobie, że może rząd ma i rację, może go ostatecznie nie skrzywdzi.

Nie potrafię przeprowadzić analizy wszystkich składników, czy „rozkładników“ stanowiących o atmosferze rewolucji, która się w Niemczech dokonywa. Bezwątpienia, pewne analogje z Rosją sowiecką wzmacniają świadomość, że tu naprawdę odbywa się rewolucja. Jest nerwowość w powietrzu i nie da się o tem zapomnieć ani na chwilę. Jest też ciągle mowa o sabotażu i kontrrewolucji. Do walki z niemi, podobnie jak do walki z korrupcją, ustanawia się nawet odrębne urzędy. Dla tych i im podobnych, nowopowstających urzędów naznacza się „komisarzy“ z poleceniem, aby w ciągu, dajmy na to, trzech dni dobrali sobie współpracowników, zorganizowali biura, rozpoczęli działalność i złożyli o niej i projektach na przyszłość raport rządowi.

A poza tem wszystkiem istnieje na tle już i tak dość

zagmatwanego schematu administracji, z ministerjami i urzędami Rzeszy i odrębnych jej krajów, jeszcze nieprawdopodobna, że tak powiem, koleżeńska nonszalancja, z jaką ministrowie i komisarze mieszają się do spraw cudzych resortów lub innych krajów Rzeszy. Zabierają oni publicznie głos na tematy, które, zdawałoby się, mają swoich „naturalnych“ referentów. Jak na kiermaszu nikogo nie razi ani drażni, że dwie sąsiadujące karuzele grają — jedna marsza, a druga polkę, — tak samo w tej barwnej i jak kiermasz podniecającej imprezie przewrotu narodowo-socjalistycznego ten zamęt w pośpiechu jest uważany nietylko za objaw naturalny, ale nawet za oznakę pewnej młodzieńczej żywotności. W każdym razie potwierdza to bezwątpienia istnienie wśród sfer rządzących prawdziwej „Kameradschaft“.

— — — — — — —

Siedzę w kawiarni. Przejeżdża siedem czy osiem ciężarówek. Ustawiono w nich ławki, a na ławkach siedzą, trzymając karabiny między kolanami, policjanci i członkowie policji pomocniczej. Wiadomo co to znaczy: razzia. Otoczą cały blok domów lub nawet kilka ulic, a może jaki park, wszystkich wylegitymują i poddadzą rewizji. Podejrzanych zatrzymają. Taka obława trwa czasem cały dzień. Zdarza się głównie w dzielnicach ubogich, gdzie dużo jest komunistów, lecz i w centrum i w Westend bywa również przeprowadzana. Znajoma moja, żona wysokiego urzędnika „Auswärtiges Amt“ musiała

kiedyś siedzieć zamknięta w domu do samego wieczora. Telefonowała do męża, żeby uzyskał jej „zwolnienie“. Nic nie pomogło. Protekcja w tych razach pozostaje bezskuteczna. Oczka w sieci są zupełnie równe. Kogo się tak łowi? A mało to jest wrogów i podejrzanych: prawicowych, lewicowych, centrowych, no i wogóle niehitlerowców.

Auta przejechały. Zaglądam do gazety. Panna Neppach, tennisistka, Żydówka, którą widziałem wczoraj w barze, „popełniła samobójstwo z niewiadomych powodów“. Córka Scheidemanna wraz z mężem popełnili samobójstwo. Profesor Mayer, nieoceniony znawca sztuki i dyrektor monachijskiej Pinakoteki, popełnił samobójstwo w więzieniu. Burmistrz jakiejś mieściny na Fryzach, poseł socjal-demokratyczny z Hamburga i t. d. i t. d… popełnili samobójstwa. Nie chce się wprost wierzyć. Nie podaje się nigdy szczegółów śledztwa, a rzadko kiedy sposób, w jaki samobójca skrócił swoje dni.

Tak. To chyba jest rewolucja.

A czy to co piszę jest „Greuelpropaganda“? Nie. Ciągle radziłem się swego sumienia. To co piszę, to uczciwa, smutna prawda.

1. ↑ Oto jedna zwrotka:
   „Fünf Finger hat der Meinen rechte,
   Fünf ihre treue linke Hand,
   In unserm Haus sind zwei Gerechte,
   Der Christ und Hitler, an der Wand“.

---

*Tekst jest **własnością publiczną** (**public domain**). Szczegóły licencji na stronie autora: Antoni Sobański.*

ŻYDZI.

Wśród nawały rozporządzeń i ustaw wydawanych przez rządy narodowej rewolucji jest jedna ustawa, która, choć nadzwyczaj doniosła, ciekawa i śmiała, nie jest typowo rewolucyjna. Mam na myśli wprowadzenie w Prusach tak zwanego „Anerbenrecht“. Jest to wskrzeszenie prawa istniejącego w średniowieczu; pewne pozostałości jego przetrwały do dnia dzisiejszego w niektórych krajach Rzeszy. Polega ono na tem, że z każdego chłopa robi — ordynata; czyli, że wolno mu jest zapisać zagrodę i wszelką nieruchomość tylko najstarszemu synowi. Ma to przeciwdziałać skrajnemu rozdrabnianiu ziemi i chronić zdrowe, samowystarczalne jednostki gospodarcze. Co się stanie z siostrami i młodszymi braćmi nowego ordynata — niewiadomo.

Przypominam sobie moje zdumienie, gdy bardzo niedługo po przyjeździe do Berlina spotkałem się w „DAZ“ ze wstępnym artykułem, analizującym to prawo i po raz pierwszy otwierającym mi oczy na całą śmieszną absurdalność kwestji i prawodawstwa rasowego. Wyczytałem, że ponieważ „prawo germańskie powinno wychodzić na dobre tylko obywatelom krwi niemieckiej, więc i w ustawie o Anerbenrecht paragraf aryjski jest specjalnie uwzględniony“. Za chłopa w znaczeniu ustawy

nie może być uważany ten, „kto wśród przodków męskich swojego rodu lub wśród innych przodków do czwartego pokolenia włącznie ma osobę pochodzenia żydowskiego lub nie-białej rasy“. „W przyszłości małżeństwo zawarte z osobą krwi nie-niemieckiej uniemożliwi potomstwu raz na zawsze zaliczanie się do chłopów w sensie posiadania dziedzicznej zagrody“. Paragraf ten jest ostrzejszy od innych, podobnych paragrafów aryjskich tem, że nietylko wymaga zupełnej czystości pochodzenia samego nazwiska, ale że nie cofa się do trzeciego lecz aż do czwartego pokolenia. Istnieje przypuszczenie, że obrachunek ten rozpoczynać się będzie nie od obecnego właściciela, ale od jego spadkobiercy. Wyjątek stanowią „niekolorowi“ i nie-żydowscy nie-aryjczycy, jak na przykład, Węgrzy, a za przynależnych do krwi niemieckiej uważani są wszelcy Germanowie, więc Holendrzy i Duńczycy. Czy jednakże w przyszłości związek małżeński, zawarty, dajmy na to, z Hiszpanką (krew nie-niemiecka), będzie równoznaczny z wydziedziczeniem potomstwa? Biorąc logicznie — tak.

Stawianie kwestji żydowskiej i ras kolorowych na jednej płaszczyźnie jest nietylko śmieszne samo przez się, ale też przez ogromną niewspółmierność znaczenia obydwóch problemów. Tych kilku jazzbandzistów i odźwiernych, którzy przywędrowali jeszcze przed wojną z kolonij niemieckich, zostali naturalizowani, a teraz wszyscy, wyrzuceni na bruk, giną z głodu, to tylko smutny i może trochę „barwniejszy“ szczegół tego ogromnego, choć nie bez wigoru namalowanego, narodowego kiczu. Śpiewak murzyński, obywatel amerykański, który doniedawna

świetnie zarabiał, po długiej chorobie w szpitalu wyczerpał wszystkie swoje oszczędności. Nie ma nawet na wyjazd z Berlina, a nie ma prawa zarobić choćby śpiewaniem na podwórkach. (Śpiewacy podwórkowi zostali zorganizowani. Muszą wykazać się partyjną prawomyślnością, ale chodzi głównie o repertuar — musi być czysto narodowy). W nocnym klubie, gdzie dawniej murzyn ten występował, właściciel zbiera wśród stałych bywalców na wysłanie nieszczęśliwca do Paryża.

Inna rzecz z Żydami; — to już nie detal; to sprawa przejmującej powagi. Stanowią oni w Niemczech zaledwie 1% ludności. Nie należałoby się może dziwić ludziom, którzy, mając zastrzeżenia instynktowne czy interesowne przeciwko Żydom, przedsiębiorą te okrutne kroki, o których słyszymy; trudno bowiem naprawdę wystawić sobie bardziej żywotny, chłonny i z temperamentu zachłanny — taki sobie 1%, jak Żydzi niemieccy. Gdyby więc ci Żydzi, poza wrodzoną właściwością wypełniania sobą każdej próżni, luki czy potrzeby — jeszcze źle się asymilowali, możnaby łatwo zrozumieć tych, którzy myślą kategorjami plemiennemi. Ale przecież poza krajami anglo-saskimi nigdzie Żyd nie okazał się tak lojalnym i patrjotycznym obywatelem (dawali tego dowody podczas wojny) jak właśnie w Niemczech. Tak samo dzisiaj, kiedy się chce, tak jak ja, w rozmowach z Żydami niemieckimi dowiedzieć prawdy o panujących stosunkach — natrafia się na podwójną trudność. Po pierwsze, istnieje aż zbyt słusznie uzasadniony strach, ale po drugie — i to w o wiele wyższym jeszcze stopniu — niechęć zwierzania się z

bolesnych i brudnych „spraw rodzinnych“ przed człowiekiem obcym, w dodatku Polakiem. Można śmiało powiedzieć, że ogromna większość Żydów niemieckich tylko czeka z upragnieniem na tę chwilę, kiedy im znowu wolno będzie stać się 100%-owo lojalnymi Niemcami. Jeżeli obecny straszliwy ucisk nie potrwa zbyt długo, przewiduję, że dożyjemy jeszcze czasów nowej fali niemieckiego szowinizmu wśród niemieckich Żydów. Będzie to coś, jak kochające małżeństwo, godzące się po sprzeczce; jakiś, bardziej niż pierwszy, świadomy miesiąc miodowy. Ale z drugiej strony prześladowanie to może zniszczyć przywiązanie Żydów do Niemiec, o ile w czasie jego trwania zdąży się wychować całe jedno pokolenie, „urodzone w niewoli, okute w powiciu“.

Za cóż innego, niż za Niemkę, może się uważać 80-kilkoletnia staruszka, która, choć rodem z Łodzi, wyszła zamąż do Berlina, mając niespełna 20 lat. Jest i była zawsze bezwyznaniowa, więc nawet symbol synagogi dla niej nie istniał. Odkąd jest Niemką przeżyła dwie wojny: 1870 i 1914. Podczas obu musiała drżeć o życia najbliższych. W wojnie światowej miała trzech synów i zięcia. Jeden syn poległ. Dwaj inni byli ranni i otrzymali wysokie odznaczenia wojenne. Jednego z nich wojna zaskoczyła w Ameryce Południowej. Przemycał się zpowrotem do Niemiec z narażeniem życia i tylko poto, żeby wstąpić do wojska. A teraz, jako docent uniwersytetu w Lipsku, pozbawiony możności zarobkowania, no i nawet pracy naukowej (laboratorja i bibljoteki są dla niego zamknięte), musiał wyjechać do Paryża, gdzie szuka jakiegoś zajęcia i

boryka się z wielkiemi trudnościami materjalnemi. Prawie identyczny los spotkał drugiego, pozostałego przy życiu syna; tylko że ten jest w Pradze i ma nadzieję dostać pracę w Zürichu. Przecież ludzie ci włożyli w Niemcy zbyt wiele kapitału uczuciowego, żeby odrazu móc zobojętnieć.

Więc też ta moja znajoma siedzi sobie cichutko wraz z córką wdową. Synowie już nie pomagają, więc dochody na utrzymanie domu ogromnie zmalały, a przeciwnie, trzeba jeszcze myśleć, żeby dozwolone, pomimo ograniczeń walutowych, 200 marek miesięcznie wysyłać do Paryża i Pragi. Do dużego, zasobnego, nieomylnie żydowskiego (poznam je na całym świecie) mieszkania przyjęto lokatorów, Żydów oczywiście. Aryjczyk, nawet największy filosemita, niechętnie zamieszka tam, gdzie mogą być rewizje i gdzie pewnie niezadługo zapanuje nędza. Lokatorzy Żydzi tymczasem płacą. Czy to potrwa — niewiadomo. Jeden jest studentem z Polski, — to jak P. K. O. — pewność i zaufanie. Ale jak długo będzie jeszcze mógł tu studjować? Przyszłość jest tak straszliwie niepewna. Te panie jednakże z godnością, ograniczywszy swe potrzeby do minimum, nie okazując pierwszemu lepszemu goryczy, jaka musi być ich udziałem, nazewnątrz pogodne, — oczekują lepszego jutra. „Przecież ono przyjść musi?“ — pytają mnie trochę nerwowo, patrząc mi w oczy prawie pokornie. Zaprzeczają pogłoskom, jakoby na ulicach miały miejsca akty gwałtów nad Żydami, przeciwnie, podnoszą fakt, że doznały wiele przyjaźni i współczucia od czasu rozpoczęcia prześladowań.

W przeciwstawieństwie do Nadrenji, w miastach

portowych, a głównie w Hamburgu, gdzie najtrudniej wywołać nastroje antysemickie i gdzie dzień bojkotu skończył się notorycznem fiaskiem, nie można było już wczesnem popołudniem dokupić się kwiatów, gdyż wszystkie powędrowały do mieszkań żydowskich, wysłane tam przez zażenowanych i współczujących Aryjczyków. Ale te fakty, jak również to, że w dzień bojkotu ustępowano Żydom miejsca w kolejkach, czy też inaczej podkreślano swą, niestety, tylko powierzchowną niesolidarność z panującymi, a raczej narzuconymi nastrojami, — chyba mało kogo na długo pocieszały. Odwagi, znów to powtarzam, w łamaniu bojkotu ze strony aryjskiej nie zanotowano, a i współczucie, o którem pisałem, ogranicza się jedynie do kart wizytowych, kwiatów i odwiedzania znajomych Żydów. Za to zaprasza się Żydów znacznie rzadziej. Jest to zresztą zrozumiałe. Bo co powie kuzyn Otto, czy wuj Herbert, kiedy wpadłszy niezapowiedziany na herbatę, dumny ze swej bronzowej koszuli, zastanie wokoło salonu istny fryz krogulczych profilów. „To naprawdę zbytnio by już raziło na tle ogólnych nastrojów“.

Antysemityzm znacznie bardziej jeszcze niż inne odruchy rewolucji jest „odruchem programowym“. Osobiście nie miałem sposobności spotkania prawdziwego żydożercy, zwłaszcza urzędnicy państwowi, wstydliwie „milczeli na ten temat“, lub też wypowiadali często słyszaną formułę: „Ja osobiście nic przeciwko Żydom nie mam, przeciwnie, mam wśród nich nawet bardzo dobrych przyjaciół, ale rzeczywiście już tak opanowali wszystkie dziedziny życia, że może rząd ma rację w tem, co czyni“. A

znowu znajomi z SA czy też ważniejsi hitlerowcy zachowują się wobec posunięć antyżydowskich tak samo, jak wobec wszystkich negatywnych stron rewolucji, czy chodzi o rozzuchwalenie młodzieży akademickiej, czy o palenie książek — bagatelizują te objawy. Najwyżej przyznają, że robi się to trochę z chęci zyskania sobie tłumu.

Jedyne konkretne skargi z żydowskich ust słyszałem od matki na temat syna-gimnazisty. Chłopiec był chory od Nowego Roku przez cały trymestr i powrócił do szkoły dopiero po Wielkiej Nocy. Jest nadzwyczaj rosły i wysportowany, dzięki czemu stał na czele drużyny harcerskiej. Po powrocie zastał ten wysoki urząd już w godniejszych, aryjskich rękach. W dodatku rozpoczęły się prześladowania ze strony kolegów. Twierdzili przedewszystkiem, że nie wierzą w jego chorobę, że poprostu, jako Żyd, bał się przyjść do szkoły; że ponieważ przyjaźni się z synem barona bałtyckiego, obywatela estońskiego, — przyjaźni się z bolszewikami; że powinien razem z wszystkimi Żydami wyjechać do Rosji; że jest harcerzem, bo to organizacja międzynarodowa — więc żydowska; wszystkie te zarzuty kończyły się zwykle rękoczynami. Z utarczek tych wychodził zwykle Willy zwycięsko, choć raz, kiedy go widziałem, był niewiarogodnie podrapany. Matka telefonowała ze skargą do dyrektora gimnazjum, którego zna od lat. Powiedział jej, że całe ciało pedagogiczne ubolewa nad panującymi stosunkami i stara się im przeciwdziałać, ale że dzieci i młodzież są jakby ugryzione przez wściekłą muchę,

przyniosły po wakacjach z domów jakiś nadzwyczajny zasób wojowniczości, zawziętości i złośliwości.

Pytałem wszystkich Żydów, z którymi prowadziłem zasadnicze rozmowy, czy mają zamiar emigrować. Większość odpowiadała mi dość oschle, że są Niemcami i że fakt, iż jest im chwilowo źle, nie jest dostatecznym powodem do opuszczenia ojczyzny. Ta mniejszość jednak, dla której życie w Niemczech stało się niemożliwe, objaśnia mnie, jak trudno jest wyjechać. Władze skarbowe stoją przeważnie na przeszkodzie. Fiskus działa dwojako, bo i w obronie (albo w rzekomej obronie) swoich interesów, albo też wprost jako narzędzie szykany. Żyd, nieposiadający żadnej nieruchomości ani żadnego kapitału w banku, wyjedzie stosunkowo najłatwiej, ale właściciel kapitału czy nieruchomości nie zostaje wypuszczony pod błahym, lecz decydującym pretekstem, że skoro wyjedzie, nie będzie płacił podatku ze swego majątku, pomimo że majątek ten pozostaje przecież w Niemczech. Należy mieć ciągle w pamięci zakaz wywożenia pieniędzy. Ale władze wychodzą z założenia, że ktoś, kto osiadł zagranicą, zawsze znajdzie nielegalny sposób sprowadzenia swej gotówki. A jeżeli chodzi o czystej wody szykanę, mogę przytoczyć przykład mego dobrego znajomego, wybitnego lekarza-hygjenisty Żyda, który otrzymawszy bardzo dobrą posadę na jednym z uniwersytetów francuskich, — nie uzyskał prawa wyjazdu, gdyż kazano mu otworzyć sobie konto oszczędnościowe w Berlinie w wysokości 25 000 mk., podczas gdy on, jako lekarz bez praktyki, miał wszystkiego 2.000 mk. oszczędności. Gdy wyjeżdżałem z Berlina, miał już tylko

500 marek i nie wiedział, co dalej pocznie.

Gdzie procentowo było najwięcej Żydów? Dwa wolne zawody, a mianowicie medycyna i adwokatura, były naprawdę, choć głównie w Berlinie, opanowane przez element żydowski. W każdym z tych fachów ludzie pochodzenia żydowskiego stanowili większość.

Lekarze opierali swój budżet głównie na wynagrodzeniach wypłacanych im przez kasy chorych. Używam liczby mnogiej, bo poza ogólnokrajowemi czy „rzeszowemi“ kasami istniało jeszcze mnóstwo różnych „Krankenkasse“, prowadzonych dla swoich członków przez poszczególne związki i organizacje. Z wszystkich tych stanowisk lekarze pochodzenia żydowskiego zostali, z nadzwyczaj rzadkiemi wyjątkami, usunięci. Pozostała im więc praktyka prywatna. Ale co się okazuje? Niemiecką izbą lekarską owładnęli hitlerowcy. Mogą więc każdego wykreślić z listy lekarzy uprawnionych do pełnienia swego zawodu. Każdy lekarz otrzymał kwestjonarjusz, zawierający około 150 pytań. Pytania te dotyczą m. in. przynależności rasowej własnej, żony oraz swoich i żony rodziców i dziadków. Należy odpowiedzieć, czy się było kiedykolwiek czynnym komunistą, czy socjalistą; co się robiło podczas wojny i czy się na niej straciło ojca lub syna. Każdy lekarz, poszlakowany rasowo, politycznie lub bez zasług wojennych, jeżeli będzie dalej chciał prowadzić praktykę, może być uznany za znachora i odpowiednio karany.

A adwokaci? W Berlinie na 3.600 adwokatów było około 2.800 podpadających pod dzisiejszą klasyfikację jako Żydzi

(¼ krwi żydowskiej wystarcza). Zastosowano do nich naogół te same zasady, co do urzędników państwowych, tak że pozostało około 1.700 Żydów, którzy zasadniczo zachowali prawo praktyki i występowania w sądach. Ale skądinąd dano do zrozumienia tym wybrańcom losu, że o ile zjawią się w sądzie, „burzliwe elementy patrjotyczne“, za które przecież nie sposób odpowiadać, zbiją ich poprostu na progu, a jeżeliby nawet to się nie zdarzyło, wykluczone jest, aby obrońca-Żyd wygrał dziś sprawę w jakimkolwiek sądzie odrodzonych Niemiec. Bieda, i to beznadziejna, zagląda więc też do większości domów mecenasów berlińskich, i tylko kilka największych znakomitości wzięło sobie Aryjczyków na „Strohmannów“, by ci występowali w sądach. Ale i to długo nie trwało. Izba Adwokacka zabroniła swym członkom utrzymywania jakichkolwiek zawodowych stosunków z prawnikami, którzy utracili prawo do praktyki. Jest surowo zakazane zakładać spółkę lub wspólną kancelarję z adwokatem nie-aryjskiego pochodzenia, a każdy taki stosunek, o ile istnieje, nie dłużej jak od września 1930 r. musi być natychmiast rozwiązany.

Wreszcie są i urzędnicy państwowi, wśród których też nie brakowało „Żydów“. Przepisy wykonawcze do nowej ustawy o przyjmowaniu i zwalnianiu urzędników, rzucają oskarżający snop światła na beznadziejność położenia Żydów, czy też lewicowców, którzy chcieliby dalej spokojnie zarabiać na życie. Ustawa bowiem tacite stwierdza, że żadna pretensja tych ludzi nie może być broniona przez prawo. Aryjski więc paragraf ustawy urzędniczej tem znowu różni się od ogólnych zasad o

aryjskości, że bierze pod uwagę i pozaślubne pochodzenie. Adoptacja w niczem nie zmienia położenia. Wyjątek co do niearyjczyków, pełniących służbę państwową już przed 1 sierpnia 1914 r., jest tu sprecyzowany w sensie, że musieli oni być na służbie od tego czasu bez przerwy i że *są w wybitnym stopniu zasłużeni*. (Co za pole dla komentatora!). Pojęcie „żołnierza frontowego“, pierwszy raz wysunięte przez ustawę, jest tutaj także specyficznie wyjaśnione, w sposób odmienny niż dotychczas i nader zwężony. Dotąd za „żołnierza frontowego“ uważany był ten, kto dwa miesiące spędził z polecenia władz w rejonie działań wojennych, a teraz tylko ten, kto z walczącemi oddziałami brał czynny udział w „potyczce lub akcji wojennej“; kto posiada oznakę za rany lub kto walczył przeciwko spartakusowcom, seperatystom, lub też przeciwko wrogom narodowego odrodzenia. Wszyscy nieodpowiadający tym wyjątkom muszą być przeniesieni w stan spoczynku. I tu nagle wielka łaska: „przepis ten nie dotyczy naturalnie żydowskich nauczycieli w żydowskich szkołach“. Co za ulga: Żyd może być nawet rabinem.

Ale, dajmy na to, że jakiś wyjątkowo zasłużony i mający szczęście urzędnik, ćwierćizraelita ominął tę Scyllę. To nie koniec. Czeka na niego jeszcze Charybda w formie paragrafu o „politycznie niepewnych“. „Niepewność“ polityczna nie jest zależna od przynależności do jakiejś partji, (z wyjątkiem komunistycznej), ale od tego, czy urzędnik słowem, na piśmie lub też wogóle swoją postawą nie sprzeciwiał się odrodzeniu narodowemu, *nie szkodził „urzędnikom-narodowcom“* (przy istniejącym głodzie

pracy co za okazja do donosów i skarg!). Wstąpienie do któregoś z ugrupowań narodowych po 30 stycznia b. r. nie będzie uważane za usprawiedliwienie. Za kryterjum powinno służyć wypowiedzenie się urzędnika w czasie wyborów. Tę sprawę należy w miarę możliwości jaknajściślej wybadać. Wyżsi urzędnicy powinni być badani surowiej od podwładnych, a dla „żołnierzy frontowych“ przy ich badaniu nie powinno się mieć żadnych wyjątkowych względów. Jeżeli nie-aryjczyk jest uznany za politycznie niepewnego, nie dostaje emerytury; poprostu wydala się go ze służby (co za oszczędność!). A jeżeli jest profesorem, traci w dodatku wogóle prawo wykładania.

Jak widzimy, wolne i naukowe zawody, bo nawet zawody na wolnem powietrzu, są dla Żydów zamknięte. A propos sportów: wszyscy wiemy, że świetny tennisista Prenn nie może reprezentować sportowych barw Rzeszy, ale czego ogół nie wie, to o ciężkich kłopotach i targach z własnem, aryjskiem sumieniem sportowego świata niemieckiego, który dowiedział się niedawno o nie-aryjskiem pochodzeniu drugiej rakiety Niemiec, barona von Cramm‘a, ale nie ma wprost odwagi wyrzucić go z reprezentacyjnego zespołu.

Lecz powróćmy do nauki i profesorów. A więc Max Liebermann, wieloletni prezes berlińskiej akademji sztuk pięknych, największy impresjonista, jakiego wydały Niemcy, starzec o niesłychanym osobistym i artystycznym presige‘u, jeden z trzydziestu kilku odznaczonych przez Hindenburga „Orłem“, jedyną odznaką weimarskiej republiki, udzielaną podług osobistego uznania prezydenta,

podaje się do dymisji ze względu na panujące stosunki. Nikt nie miał odwagi go ruszyć. On miał jednakże odwagę napisać śmiały i piękny list.

Równie pięknym i przejmującym dokumentem był list rezygnacyjny laureata Nobla, profesora Francka z Uniwersytetu w Getyndze. Ten wielki uczony walczył na froncie, zdobył Krzyż Żelazny i przez to należał do tych uprzywilejowanych, którzy mogą nadal piastować swoje stanowiska; ale prof. Franck podał się do dymisji, uzasadniając swój krok tem, że nie może służyć krajowi, który nie uznaje jego dzieci za Niemców, lecz tylko za obywateli drugiej klasy, za parjasów.

Wspomniane dwa listy na tle powszechnej uległości niemieckiej, dzięki swej odwadze i szlachetnej formie, nabierają cech zupełnie heroicznych.

Laureatów Nobla, pozbawionych dziś stanowisk i możności zarobku jest kilku, ale wspomnę tylko o prof. Haberze, gdyż jest to wypadek wyjątkowo znamienny. Ten profesor berlińskiego uniwersytetu położył największe zasługi (używam gotowego zdania) dla ojczyzny jako pionier w fabrykacji gazów trujących podczas Wielkiej Wojny.

Jak dla laureata Nobla tak i dla zwykłego studenta Żyda droga do nauki jest zamknięta. Ma być wprowadzony numerus clausus w proporcji, oczywiście, nie wyższej niż 1%. Tymczasem sprawa jest w zawieszeniu. Niektórzy odważniejsi studenci żydowscy, jeżeli nawet nie uczęszczali na wykłady, przynajmniej starali się wykańczać swe roboty w bibljotekach czy laboratorjach; ale i tym ich aryjscy

koledzy, poparci wyłącznie prawem kaduka, odbierali legitymacje, dając do zrozumienia, że lepiej nie pokazywać się na terenie uniwersytetu, że sprawy studentów-Żydów będą rozpatrzone indywidualnie przez władze i że może w jesieni kilku z nich znowu będzie dopuszczonych.

Jakim Żydom jest stosunkowo najłatwiej dziś żyć w Niemczech? Bezwzględnie bankierom. Z nimi obchodzą się względnie gładko i łagodnie. To samo dotyczy, jak dotychczas, wielkich przemysłowców. Zresztą przemysł niemiecki jest naogół dziwnie mało żydowski. Czasem w bankach czy towarzystwach ubezpieczeniowych przeniosą „Żyda“ na niższe stanowisko, ale wynagrodzenie pobiera to samo.

Bardzo zdziwiła mnie atmosfera panująca w domu ludzi dawno i dobrze mi znanych, Żydów — wielkich przemysłowców i sportowców. Jest to wielomiljonowa fortuna. Byłem u nich na dużem, wystawnem śniadaniu. Przy stole było trochę rodziny, reszta gości składała się z arystokratów-przemysłowców i arystokratów-sportowców. Dokonaliśmy wszyscy, gospodarze i goście, zupełnego wyczynu towarzyskiego; przez całe śniadanie nie padło ani słowo o polityce, rewolucji, Hitlerze, czy antysemityzmie. Jakaś, widocznie bardzo nieobyta pani wyrwała się tylko z zapytaniem, czy „Querschnitt“ został zawieszony, i nawet ta, w innych czasach, niewinna uwaga rzuciła pewien chłód na zgromadzenie. Później, kiedy znalazłem się sam na sam z gospodarzem, zadałem mu za dwoma nawrotami pytania proste i niepodstępne, poprostu takie, jakie nasuwa dzisiejsza niemiecka codzienność. Spotkałem się z

kompletnem milczeniem, zignorował poprostu moje pytanie, — a przecież łączą nas od lat wielu bardzo zażyłe stosunki.

Jak przedstawia się kwestja żydowskiego handlu? Tu sprawa jest niejasna. Jednodniowy, demonstracyjny bojkot skończył się bezwzględną „klapą“; zaraz nazajutrz sklepy żydowskie pełne były kupujących. Ogólna polityka w tym względzie jest też, zdaje się, niecałkowicie ustalona. Napisy „Deutsches Geschäft“ były po ustaniu bojkotu najpierw zabronione, potem znowu dozwolone. W każdym razie dziś bojkot nie istnieje. Co się tyczy personelu, wszystkie wielkie domy handlowe i sklepy spotkały się w początkach rewolucji wprost z terrorem, z wymuszaniem obietnicy wymówienia pracy wszystkim „Żydom“. Były nawet w tym względzie incydenty dramatyczne. Lepiej zawsze wychodzili ci, którzy wręcz odmawiali. W tym wypadku nie zjawiano się do nich po raz drugi z powtórzeniem żądania. Kończyło się na pogróżkach. W „Wahrenhaus‘ach“ berlińskich w dalszym ciągu obsługa jest rasowo ogromnie mieszana.

Ale co się dzieje z pieniędzmi wpływającymi do tych kolosalnych przedsiębiorstw i z ich zyskami — o tem krążą różne niesprawdzone przezemnie wersje. Nawet o prywatnych przedsiębiorstwach mówi się półurzędowo, a demagogicznie, że ich polityka handlowa była fałszywa lub że prowadzone były nieuczciwie. Tkwią też podobno w przedsiębiorstwach handlowych jacyś rządowi czy partyjni panowie, którzy pilnują wykonywania wypłat oraz „reszty“, która pozostaje po wypłacie…

Co do małych sklepików, słyszałem o pewnych, skutecznie wywieranych presjach. Znam, na przykład, maleńką trafikę tytoniową, obsługiwaną przez żydowskie małżeństwo, gdzie w „kadry personelu“ wciśnięto dwóch bezrobotnych i całkiem niepotrzebnych blondynów. Nie jest to jednak przewidziane żadnem rozporządzeniem czy ustawą.

Jakie są widoki dla żydowskich przedsiębiorstw na przyszłość? Można tu oczywiście stawiać tylko hypotezy i to zaopatrzone wieloma znakami zapytania. Ale są pewne dane, według których można sądzić o tem, co będzie. Ogromne firmy żydowskie, jak sklepy Karstadt oraz inne, zostały, jak powiadają, wykupione przy pomocy kredytów rządowych przez kapitał aryjski. Przy podobnych tranzakcjach, które oczywiście są dokonywane w czasie i na warunkach wysoce niekorzystnych dla strony sprzedającej, rząd jakoby pocichutku udziela pewnych ulg codo wywozu sum osiągniętych ze sprzedaży, ufając, że za tę cenę pozbędzie się w kraju inicjatywy żydowskiej. Wielu też „speców“ od obecnych stosunków przewiduje możliwość istnienia w przyszłości przedsiębiorstw, których „spiritus movens“ będzie zagranicą, zasób kapitału na miejscu minimalny, a zarząd w rękach podstawionych figur.

Ale tymczasem Żydzi w Niemczech jeszcze są. W minjaturowem berlińskiem ghetto, które składa się zaledwie z kilku ulic, ale może się poszczycić chałatami i jarmułkami, brodami i pejsami, ruch i wygląd ulicy są prawie normalne; tylko wiele kramików jest zamkniętych. Właściciele mogą być jedynie albo w więzieniu, albo w

Polsce. W centrum i w Westend na ulicach i w kawiarniach widać wielu Żydów. Prawie tylu co dawniej. Antysemityzm do mas jeszcze nie przesiąkł. Ale czynniki u władzy agitują, jak mogą. Żadne kłamstwo ani oszczerstwo nie jest dla nich zbyt niskie.

Wchodzę do lokalu pisma „Der Angriff“ (organ SA). Biuro urządzone nowocześnie, a za ladą obsługuje bardzo porządnie i sympatycznie wyglądający starszy pan. Proszę o książkę, którą znajomi kazali mi koniecznie kupić. Wydana jest nakładem „Angriff‘u“ i nazywa się: „Die Juden sehen dich an“. (Żydzi patrzą na ciebie). Jest to dzieło dr. Johanna von Leersa, obecnego sekretarza niemieckiego P.E.N. Clubu. Zaraz na miejscu przeglądam to curiosum i mimowoli wzbiera we mnie jakiś nerwowy śmiech. Ulica za oknem, redakcja, w której siedzę, i pan za ladą — wszystko świadczy, że znajduję się w świecie cywilizowanym, a tu nagle — ten nieprawdopodobny dokument zdziczenia. Bo książka przedstawiciela obecnych prądów w literaturze niemieckiej jest najstraszniejszym stekiem kłamstw i nieścisłości, plugarstw, obelg oraz idjotycznych oskarżeń. Nowaczyński niewątpliwie wzoruje się na tych przykładach, ale trzeba przyznać, że nie dorósł jeszcze do nich. Zawartość książki, to przedewszystkiem fotografje zaopatrzone nazwiskami, czasem nawet nie tych osób, które przedstawiają. Np. pod zdjęciem Jakóba Wassermanna jest podpis „Oskar Wassermann“ (jestto znany berliński bankier). W książce tej znajdujemy też i nie-żydów, jak np. Ertzbergera, katolika, polityka centrowego, oraz Piscatora, znakomitego komunizującego

reżysera berlińskiego. Zresztą, żeby być sprawiedliwym, należy zaznaczyć, że gdy Piscator doszedł do sławy — Żydzi chętnie się do niego przyznawali. Jeżeli czyjaś pamięć lub ktoś jest partji niemiły, zawsze można mu dać etykietę Żyda, — a nuż ktoś uwierzy. Poza fotografjami podane są krótkie, ale „siarczyste“ charakterystyki - życiorysy. Ofiary dr. von Leersa podzielono na sześć grup, a więc: Żydów krwiożerczych, Żydów-łgarzy, Żydów-oszustów, Żydów-burzycieli, Żydów w sztuce oraz finansistów żydowskich. Kategorje te są chaotyczne i podane niżej nazwiska są chaotycznie pomiędzy te grupy rozdzielone. A więc najpierw nazwiska „oczywiste“: Rosa Luxsenburg, Liebknecht, Bela Kun, Trockij, Radek, Kamieniew, Zinowiew, Rakowskij i Marx. Brakuje na przykład Lenina. Ale potem następuje ciekawsza lista. Reinhardt, najsławniejszy reżyser Niemiec i Austrji, „zasług nie ma żadnych“. Sztuka jego była z gatunku niższych i bezduszna. Tylko prasa żydowska potrafiła wmówić w społeczeństwo, że to wielki artysta.

Bracia Rotter, dyrektorowie teatrów w Berlinie, którzy zbankrutowali i, jak twierdzi książka, „zarwali“ wielu wierzycieli, „znajdują się obecnie w Lichtensteinie“. I tu następuje w nawiasie słowo „ungehängt“ — niepowieszeni. To mówi nam książka, wydana w kwietniu. Ale od tego czasu bojówkarze Hitlera, bezprawnie przekroczywszy granicę księstewka, już zdążyli zamordować jednego z braci Rotter. Wyraźny przykład, jak skuteczna jest agitacja.

Po nazwiskach dyrektorów teatrów następuje wyliczenie wszystkich prawie najlepszych sił niemieckiej sceny i

ekranu. Więc Elisabeth Bergner, dobrze znana nam z filmów, jest przedstawiona jako kreatura żydowskiej reklamy filmowej. Osobistych zasług artystycznych nie posiada żadnych.

Siegfried Arno, ścisły odpowiednik Kazimierza Krukowskiego, otrzymał taką wzmiankę: „Co do gęby, nie można się pomylić. Grywał role żydowskie, w których Żyd był przedstawiony jako nieszkodliwy, śmieszny i uprzejmy, aby w ten sposób uśpić w narodzie niemieckim poczucie rasy“.

Może najbardziej zdumiewającą charakterystyką obdzielono Chaplina. „Ten równie nudny jak wstrętny mały żydłak był w następujący sposób gloryfikowany przez „Izraelitisches Familienblatt“: — „Ale Charlie Chaplin, który wciąż przedstawia wiecznie toczącą się wojnę ducha przeciwko przemocy, i który broni praw ubogich, wstrząsając w ten sposób całym światem — stał się mitem (Mythos) naszych czasów“. — „Te czasy już minęły“ — dodaje dr. von Leers.

Skończmy z teatrem i filmem. Więc, oczywiście, jest i Einstein. Teorja względności, to niewiadomo co (i tutaj muszę przyznać rację autorowi: ja też nie wiem). Prasa żydowska i niepodejrzliwy naród niemiecki wysławiali go na wszystkie tony, za co on odwdzięczył się robieniem „Greuelpropaganda“ przeciwko Adolfowi Hitlerowi zagranicą („niepowieszony“).

Jest i Emil Ludwig, który, jak się dowiadujemy, pisał zakłamane książki, gdzie każdy objaw bohaterstwa był traktowany pogardliwie. Wyjechał zagranicę, „hecował“

przeciwko Adolfowi Hitlerowi i kłamał („niepowieszony“).

Także Feuchtwanger pisał złe powieści, hecował w Ameryce przeciwko Adolfowi Hitlerowi i kłamał („niepowieszony“). I t. d. i t. d. i t. d.

(Tu uwaga zupełnie poboczna. Zauważyłem, że w Niemczech, kiedy się chce ubrać Hitlera w całą, należną mu glorję, mówi się o nim: Adolf Hitler. I cóż tu robić z ludźmi, dla których imię Adolf jest czemś zupełnie naturalnem, czego się nie stara przemilczeć czy zapomnieć).

Więc tyle o Żydach w Niemczech dzisiaj. A co będzie? Pytałem się wszystkich, na lewo, na prawo i w środku — samego siebie. Jest rzeczą oczywistą, że przyszłość Żydów będzie ściśle zależną od trwałości obecnego ustroju. Ale o ile obecne prześladowanie potrwa ze dwa lata, to należy przypuszczać, że ujrzymy bardzo daleko posunięty proces „wyciekania“ z Niemiec wielkiego kapitału żydowskiego oraz ludzi rozporządzających nim; „oczyszczenie“ sztuki, literatury i życia intelektualnego z elementu semickiego; i wreszcie skrajne spauperyzowanie tej części społeczeństwa żydowskiego, która dla wyrwania się z Niemiec miała zbyt wiele przywiązania czy zbyt mało energji. Może nawet powstać jakaś nowa forma kulturalnego ghetta.

W zmianę antyżydowskiego kursu pod obecnym rządem mało kto wierzy, gdyż nawet najcięższe następstwa natury gospodarczej, wywołane przez wszechświatowy bojkot towarów niemieckich, nie mogą być tak groźne jak pozbawienie mas czegoś do zwalczania. Gdy się nie widzi możliwości dania narodowi, którym się rządzi, już nawet

nie chleba, ale choćby plew — to trzeba dać mu przynajmniej tradycyjne, donkiszotowskie wiatraki. W tym wypadku skrzydła „Hackenkreuz'u" nie mogą być użyte, ale Żyda „brać na muszkę" — czemu nie?

Myśląc o tem wszystkiem, odczuwam nagle względem Polski pewien liberalny patrjotyzm. Więc właściwie, pomimo reputacji pogromów, to w tej Polsce nie jest tak źle. Ostatecznie Kazimierz Wielki, Jankiel, Berek Joselewicz, Norwid. Niema co mówić — świadczyli sobie, i to wzajemnie.

Norwid nie przewidywał nowych form, w jakie przeleje się w XX w. patrjotyzm w Europie, kiedy pisał:

„Ty! jesteś w Europie poważny narodzie
Żydowski: jak pomnik strzaskany na Wschodzie".

A co będzie na Zachodzie? Czy Polacy będą jeszcze mieli sposobność powtarzać za tymże Norwidem:

„My pierwej niż inni, my wcale inaczej
Pojrzeliśmy ku wam, bynajmniej z rozpaczy".

*Tekst jest **własnością publiczną** (**public domain**). Szczegóły licencji na stronie autora: Antoni Sobański.*

ODRĘBNOŚĆ.

Powracam jeszcze do Żydów. Jestem jak endek. Nie mogę się od nich oderwać. Ale byłem w teatrze i zobaczyłem straszliwe spustoszenie, jakie antysemityzm wyrządził na tym odcinku. Byłem też w Warszawie na międzynarodowym konkursie tańca i widziałem, że wszystko co najlepsze (nie według protekcjonistycznie rozdanych nagród) przyszło z Niemiec i było przeważnie semickiego pochodzenia. Żydzi w samej rzeczy rządzili teatrem i spektaklem w Berlinie. Rządzili niemi ze świetnością jakiegoś Ludwika XIV i szerokością poglądów encyklopedystów. A co jest dzisiaj? Przeszło dwadzieścia teatrów stoi bezczynnie. W innych, do których zachodziłem na kilka minut, kupując sobie bilet na galerję, — „szmira“ nieprawdopodobna. W ciągu kilku miesięcy osiągnięto poziom nisko-prowincjonalny. Przecie poza nazwiskami, które wymieniłem w związku z książką dr. von Leersa, brakuje scenie berlińskiej takich nazwisk jak Moissi, Kortner, Eric Charell, Pallenberg, Gita Alpar, Fritzi Massary, Dájos Bela i wielu innych. Froelich np. nie może dostać engagement z powodu żydowskiego pochodzenia żony, właśnie Gity Alpar.

Wymownym obrazkiem życia teatru jest to, co się stało po ustąpieniu i wyjeździe do Austrji Reinhardta. A więc

prasa z naciskiem oświadczyła, że Deutsche Theater pozostanie nadal pierwszą sceną Niemiec, oczywiście na znacznie wyższym poziomie, bo już nie pod wpływem żydowskim. Na pierwszy ogień dano jakąś sztukę patrjotyczną o Alzacji. Recenzenci szaleli z zachwytu, a po trzech dniach sztukę zdjęto z afiszu. Teatr był pusty, a sztuka strasznie marna. Oto okrutna prawda.

Toteż nic dziwnego, że zanik teatru zaczął poważnie niepokoić czynniki odpowiedzialne. Znamienną w tym względzie była mowa pruskiego ministra oświaty Rusta, skierowana do przedstawicieli narodowo-socjalistycznych organizacyj kulturalnych, a w szczególności do Związku Walki o Niemiecką Kulturę. (Takie „związki walki“ są wogóle liczne i w swej zamierzonej działalności mają dążyć ku sprostaniu wszystkim patrjotycznym, społecznym, kulturalnym i filantropijnym potrzebom kraju). W przemówieniu swem, nacechowanem zupełnie nierewolucyjnym umiarem, podkreślając potrzebę „duchowej demobilizacji“ po tak zwycięsko przeprowadzonej rewolucji, — p. minister Rust zachęcał do pracy konstruktywnej, a nietylko polegającej na wyszukiwaniu „niebłaganadiożnych“, i zatrzymał się specjalnie nad problematem teatru: „Wiadome jest, że teatrowi niemieckiemu nie brak ani utworów, ani autorów dramatycznych, a jedynie brak publiczności“ i tutaj Związek Walki powinien rozwinąć całą energję i stworzyć dla teatru poniekąd organizację „konsumentów“. Wyobrażam sobie łatwo jak to będzie wyglądało. Bez pytania zarobkujących odciągnie się im od uposażeń jakąś

sumę, wzamian za co wyda się ulgowe bilety na jakieś niemieckie „Odsiecze Wiednia“ czy innych „Kościuszków pod Racławicami“. Najpierw będą się trochę buntowali, potem przez zmysł skrzętności zaczną wyzyskiwać te bądź-co-bądź darmowe bilety, a wreszcie przyzwyczają się do poziomu, który znamy z Teatru Letniego i Domu Żołnierza. Będzie im się podobało i Deutsches Theater nie będzie świecił pustkami. Ale…

Byłem oczywiście na programowej i rozreklamowej sztuce Joosta: „Schlageter“. Zapytałem już wiljąportjera w hotelu, czy trudno będzie dostać miejsce. Odpowiedział trochę zdziwiony, że przeciwnie, nic łatwiejszego. Przyszedłem po rozpoczęciu przedstawienia, rozejrzałem się po sali i zobaczyłem, że jest na wpół pusta. Pomyślałem, że to pewno bardzo już długo grają. Tymczasem w przerwie zajrzałem do programu i wyczytałem, że to dopiero trzynaste przedstawienie. Publiczność oklaskuje niejednomyślnie: jedni wszystko, drudzy — nic. Sztuka jest grana, jak na to, co się dzisiaj widzi w Berlinie, dobrze, ale przedewszystkiem uczciwie i sumiennie. Teatrów działa zaledwie kilka, sztuka jest na czasie — a jednak pustki. Nie będę pisał o treści „Schlagetera“, bo sztuka stała się skandalem europejskim i cała prasa pełna była cytat z niej zaczerpniętych. Powiem tylko, że reakcja widza, nierozmiłowanego w panujących stosunkach i umysłowości, jest wprost bolesna. Człowiek siedzi podczas tego przedstawienia trochę skulony i nie wie, czy jest bardziej zgorszony, czy zdumiony. Z jednej strony wali się nań niesłychana gloryfikacja brutalności, wstecznictwa oraz

pychy i odrębności narodowej, a z drugiej — „przeciera uszy“, słysząc długi monolog prezydenta prowincji, dawnego robotnika-socjalisty, który wstydzi się swych spracowanych rąk. Autor daje do zrozumienia, że jest się naprawdę czego wstydzić, że robotnik powinien pozostać robotnikiem. Są to — przyznajmy — akcenty nowe. Dawka nienawiści, zaślepienia i brutalności, jest tak silna, że przez całą jedną dobę nie mogłem się uspokoić. Wciąż sobie powtarzałem: „Tyle więc jest tej patrjotycznej nienawiści w powietrzu, a zdawałoby się, że w stosunku do zbiorowości jest to uczucie tak nienaturalne“.

Sprawa filmu nie przedstawia się lepiej. W ośmiu kinach śródmieścia wyświetlano podczas mego pobytu „Blutendes Deutschland“ („Krwawiące Niemcy“); pozatem niemieckie filmy z całkiem nieznanemi nazwiskami aktorów i — o dziwo! — dwa „przeboje“ sezonu: jeden Kiepury, drugi Schmidta. Kiepura — Polak, Schmidt — stuprocentowy, już nie Żyd, ale żydek. Obaj znakomici śpiewacy — znakomicie śpiewają. Kiepura zrobił niewiarogodne postępy: — mówi płynnie po niemiecku, gra z humorem i prostotą. Ale czem tłómaczyć fakt, że filmy te tolerowano? Odpowiedź: Hugenberg znajdował się jeszcze u władzy, Hugenberg był możnym panem w „Ufie“, oba wspomniane filmy nakręciła właśnie Ufa.

Byłem oczywiście na „Blutendes Deutschland“. Jest to film propagandowy narodowego socjalizmu, polegający na zlepku aktualności filmowych od czasów przedwojennych aż po chwilę obecną. Pokazana jest potęga i blask cesarstwa, rewje wojskowe z przed 1914 r., ale, rzecz

ciekawa, nie widać cesarza, tylko — cesarzową. Potem następuje okres wojny. Napisy wychwalają wojnę jako czas bohaterstwa, próby i ofiarnej służby ojczyźnie. Z ekranu przemawiają nastroje świadczące, że w intencji piszącego scenarjusz było przekonanie młodych, iż wojna nie jest naprawdę taka straszna, jak ją malują. Ale fotografowana nie wygląda lepiej, zdjęcia bowiem, bardzo zresztą udane, pokazują najohydniejsze masakry, odzwierciadlają wiernie brud, brutalność i znużenie żołnierza. Trzeba już chyba dobrze znać swoją widownię, żeby móc taki film wyświetlać jako propagandowy. Oglądamy wreszcie powojenne „smutnoje wriemia“. Tu widzimy — tak przynajmniej się wydaje — pracę nie filmowo-reporterską, ale studjową, gdyż sceny rozruchów komunistycznych i barykad są brane przeważnie w nocy. Jest to świetne, o ile chodzi o nastrój ale nie daje zupełnie poczucia autentyczności. Pozatem widzimy zamarłe fabryki i okupacyjne wojska w Nadrenji. Wszystkiemu ma być winna republika weimarska i jej żydowsko-marxowskie rządy. Każdy napis to podkreśla. (Za „marxowskie“ uważa się dziś w Niemczech wszystko, co jest liberalne czy lewicowe). Pokazują nam np. nędzę w mieszkaniu rodziny bezrobotnego, przyczem napis brzmi mniejwięcej tak: „Tak się działo zanim narodowi socjaliści objęli rządy“. Ktoś mógłby pomyśleć, że się cokolwiek od tego czasu poprawiło. Film kończy się poczdamskim tryumfem z dn. 5 marca i łopotem flagi ze swastyką. Widowisko jest długie, naogół nudne i dość niechlujnie sklecone. Publiczność — bierna.

Ale co jest ciekawsze od każdego filmu widzianego dziś w Niemczech, to dodatki dźwiękowe. Kronika tygodnia, poświęcona w 90% sprawom niemieckim, i to politycznym, trwa czasem blisko godzinę. Ciągłe zjazdy, obchody i manifestacje są powodem do przemówień i enuncjacyj Hitlera, Goeringa i Goebbelsa ze wspomnianym już dzikim, demagogicznym rykiem. Śmiesznie wygląda tylko sam Wódz, choć tylko on jeden za każdem swojem pojawieniem się na ekranie wywołuje burzę oklasków. Zato bardzo patetyczne wrażenie robi stary prezydent Hindenburg. Można stać się odrazu konserwatystą, porównywując jego zachowanie się, postawę i ton w przemówieniach ze sposobem bycia „ludzi nowych“. Wprost przykro patrzeć, jak czuje się nieswojo ten, co tu gadać, imponujący starzec. Jego brak sympatji dla obecnych poczynań narodowych socjalistów, a zwłaszcza negatywny stosunek do antysemityzmu — stanowi dziś publiczną tajemnicę. Jedyny „jego“ człowiek — Hugenberg został usunięty, i prezydent jest dziś całkiem osamotniony nietylko pośród swego otoczenia i ludzi u władzy, ale i w społeczeństwie. Jest tak „pieczołowicie“ strzeżony, że nie ma wprost możności nawiązania kontaktów tam, gdzieby chciał.

Ale wróćmy jeszcze do filmu. Więc dawni reżyserzy i aktorzy w przeważnej części wyjechali i studja w Pradze, Wiedniu i Budapeszcie, które stały pustkami od początku kryzysu, zostały podobno odnajęte berlińskim wytwórcom na kilka lat. Nietylko więc teatr ale i film niemiecki można uważać za chwilowo (i oby tylko chwilowo) nieistniejący w artystycznem tego słowa znaczeniu.

Opera oczywiście trwa. Niemcy są tak muzykalni, że potrafią „śpiewać i grać“ sami. Ale fakt, że właśnie są tak muzykalni, zrobił z Niemiec Mekkę ludzi muzyki. Żydów i innych „obcoplemieńców“ (Toscanini) było więc, zwłaszcza wśród kapelmistrzów, bardzo wielu. Brak więc takich ludzi, jak, Bruno Walter, daje się jednakże boleśnie odczuwać i projektowane wypuszczenie znaczków pocztowych, ilustrowanych tematami wagnerowskiemi, nie przeważy tych strat.

Jak widać, „czistka“ przeprowadzana jest z całą sumiennością. Hasło „Niemcy dla Niemców“ nigdy nie było tak bliskie urzeczywistnienia. Z obcemi rasami wiadomo już, jak się załatwić, ale i wśród swojej, najświetniejszej ze wszystkich ras, trzeba zrobić porządek. Trzeba, żeby się rozmnażała. Strach przed brakiem mięsa armatniego jest większy niż skrupuły przed stwarzaniem miljonowych zastępów bezrobotnych. Trzeba więc rodzić, rodzić, rodzić! Trzeba według zasad eugeniki dobierać małżeństwa, a sterylizować nieodpowiednich do prokreacji, pozostawiając im życie „alkowy“ jedynie dla rekreacji. Wszystkie znane zasady hodowlane mają być zastosowane do rasy ludzkiej. Będą więc, jak u krów, ludzie kategorji I, II i t. d. Małżeństwa między przedstawicielami różnych kategoryj będą utrudniane, a związki z obcokrajowcami — wprost zakazane. Taki jest program. Słychać hasło: „Wir müssen uns vernordern“ (musimy się spółnocnić). To też o kobiecie, która sobie utleniła włosy, mówi się żartobliwie: „Sie hat sich vernordert“. A jedno pismo wrocławskie z zupełną powagą doniosło, że dowiedziało się ze „źródeł

najpewniejszych“, że choć Hitler wąsik ma czarny, ale pod pachami jest blondynem.

Z powodu takiego programu poradnie matrymonjalne i eugeniczne miasta Berlina wszystkie zamknięto do czasu — jak głosi komunikat magistratu — obsadzenia ich przez lekarzy o nowych poglądach i sformułowania przez wydział hygjeny społecznej nowych ogólnych zasad ich działalności.

Wogóle dużo jest mowy „o naszych pięknych dziewczynach i kobietach, o naszych dorodnych chłopcach, o naszej pięknej rasie blondynów“. Jest w tem wszystkiem jakiś niepokojący, zmysłowy, narcyzowsko-kazirodczy posmak, który dziwnie odbija od jednocześnie głoszonej pruderji. Przecież Niemcy to naród niesłychanie skomplikowany i psychicznie i płciowo. Choćby wziąć pod uwagę tak jak nigdzie rozpowszechniony homoseksualizm. Dziś jest to, oczywiście, surowo ścigane. Twierdzi się, że Żydzi zaszczepili pederastję, że jest to objaw bardzo nieniemiecki, i pod tem hasłem rozgromiono instytut badań seksualnych dr. Magnusa Hirschfelda wraz z jego bibljoteką. Instytut z punktu widzenia nauki, był niewiele wart, ale śmieszne jest zarzucanie Żydom, jednemu z najbardziej płciowo zdefinjowanych narodów świata, tego co jest typowe właśnie dla ras nordyckich.

Wszystkie więc bary, uczęszczane przez pederastów i lesbijki, te tak typowo berlińskie instytucje, — zostały zamknięte. Wszyscy transwestyci schronili się do SA i tylko, jak powiadają, skarżą się na trudność chodzenia na niskich obcasach. Zato wśród ludzi, stojących najbliżej

Hitlera, jest kilku takich, których brak instynktu „podtrzymywania rodzaju“ jest notorycznie znany. Tym panom nie dzieje się żadna krzywda. Chodzi o to, aby mocno siedzieć w partji i głośno wykrzykiwać na cześć Führera i „das Deutschtum“ (niemieckość), a pozatem wolno się kochać choćby w kaczce, byle kaczka była zupełnie prawomyślna.

W kwestji rasy operuje się dziś w Niemczech pojęciami i określeniami wysoce nienaukowemi i nieścisłemi. W rzeczywistości przedstawiciele rasy nordyckiej — najlepszej — stanowią dziś w Niemczech podobno zaledwie 6 proc. ludności. Zresztą na Śląsku, na Pomorzu, w Brandenburgji co drugi szyld sklepowy, to nazwisko słowiańskie, a mówiąc ściślej — polskie. Ale śmieszna, pseudo-naukowa „wystawa rasowa“, z wykresami, gipsowemi modelami, relikwiami znaków runicznych, zmierza do wyjaśnienia, że „najstarszą“ swastykę w Europie, wykutą w kamieniu, znaleziono gdzieś w Norwegji, w okolicach kręgu polarnego, i że schodząc na południe, rasa się zdegenerowała.

Żeby się więc odrodzić, czyni się liczne wysiłki w kierunku wyodrębnienia się i odróżnienia od innych narodów. Na odwrocie kart pocztowych o tematach hitlerowskich widzimy wydrukowane: „Deutschgeboren“ zamiast „Hochgeboren“, albo zwyczajnie „Herr“. Ten napis wygląda jednak zupełnie bluźnierczo, kiedy po nim widać nazwisko Polaka pochodzenia żydowskiego. Miałem sposobność ujrzeć takie świętokradztwo.

Istniejąca zawsze do pewnego stopnia, zwłaszcza u

mężczyzn, odrębność mody niemieckiej została przez rewolucję narodową podtrzymana i podkreślona. Mężczyźni chętnie pokazują gołe kolana, a i mężczyźni i kobiety noszą krótkie, na dwa rzędy guzików zapinane, kurteczki z jakiemś tyrolskiem zacięciem. Niedawno też powstał w Berlinie urząd mody narodowej pod przewodnictwem żony Goebbelsa.

Tak we wszystkich dziedzinach życia istnieje dążność do wycofania się z kontaktu ze światem. (To prawie, jak polskie ograniczenia paszportowe). Tego się tak nie formułuje, ale tak się to jednak rozumie. Na uniwersytecie w Dreznie, przy udziale całego gremjum profesorów, z rektorem na czele, odbyła się ceremonja „pręgierza“. Do pnia, umieszczonego na środku dziedzińca uniwersyteckiego, przygwożdżono karty z nazwiskami „przestępców uniwersyteckich“. Więc obok nazwiska profesora, który nie zdjął kapelusza przed grobem Nieznanego Żołnierza, przybito nazwiska dwóch studentów filologji słowiańskiej, którzy odbyli jakieś kursa na uniwersytecie warszawskim.

Nagwałt wprowadza się wszędzie pismo gotyckie. Książki, oczekujące na drugi nakład, wycofano, bo muszą się ukazać drukowane gotykiem. Nazwy stacyj kolei podziemnej, tak jak i ulic, zamienia się w szybkiem tempie, bo były pisane literami łacińskiemi. Zaczęto oczywiście od Adolf Hitler Platzu. Dawniejszy Reichskanzlerplatz po dn. 5 marca przemianowano na cześć Wodza, ale tablicę otrzymał jeszcze łacińską. Sam widziałem jak tę gaffę wstydliwie naprawiano. Znajomy mój w bronzowej koszuli

wpada zdyszany do baru hotelu Adlon, żeby się ze mną umówić na następny dzień. Śpieszy się ogromnie, ma pięć minut do odejścia pociągu i chce mi na kartce napisać swój nowy adres. Trzy kartki zniszczył, bo nie mógł wybazgrać się gotykiem. Była to niema scena niepozbawiona humoru.

A teraz wspomnę o dwóch bardziej jeszcze niepoważnych, ale charakterystycznych objawach separatyzmu duchowego Niemiec. Jeden — to pismo codzienne „Die Arische Rundschau“, które w jednakowym stopniu zwalcza Żydów, katolików, jezuitów (oddzielnie), masonów i komunistów. Ciekawa spółka wrogów. Mniejwięcej te same ideały przyświecają Generałowstwu Ludendorffom. Stary generał był w początkach rewolucji uważany za trochę zanadto tego… Ale dzisiaj sama rewolucja „podciąga“ się do niego jak może. Generał jest właścicielem wydawniczej firmy w Monachjum, a w Berlinie, na Friedrichstrasse ma swoją własną księgarnię. Patrząc na wystawę i typ okładek, możnaby myśleć, że się stoi przed witryną „librairie spéciale“ w paryskim Palais Royal. Papier i wykonanie — tandetne, ornamentacje secesyjne, dużo nagich ciał kobiecych, włosów i lilij wodnych w ozdobach i winjetkach. Wieje od tej wystawy ks. Oraczewskim, czy też p. Wotowskim. Niektóre dzieła wyszły z pod pióra generała, większość to dorobek literacki generałowej. Jest ona i płodną autorką i gorącą zwolenniczką germańskiego boga. Tak dużo i szczegółowo opisywała swoje bliskie z nim porozumienie, że została nawet skazana za bluźnierstwo przez niemoralne sądy republiki weimarskiej. Inni autorzy, których dzieła można

tam nabyć, są mi całkowicie nieznani. Zaszedłem do sklepu po dwie karty pocztowe, obie z wizerunkiem Fryderyka Wielkiego i z jego aforyzmami: na jednej przeciwko katolicyzmowi, a na drugiej przeciwko masonom. Sprzedający wręczył mi kopertę. W kopercie znalazłem po 6 sztuk każdej pocztówki. Zaprotestowałem, ale sprzedawca wytłumaczył mi, że sześć otrzymałem za cenę jednej, że będę może miał sposobność rozdania tych kart wśród znajomych. Pozatem nabyłem tam pocztówki z reprodukcjami rzeźb wykonanych przez murzynów dahomejskich na tematy chrześcijańskie, jak to zdjęcie z Krzyża i Matkę Boską z małym Jezusem na ręku. Pocztówki te są zaopatrzone w komentarz następujący: „Rzeźby te dowodzą jak mylnem jest uważać Żyda, Jezusa z Nazaretu za aryjczyka, a chrystjanizm za odpowiednie dla narodu niemieckiego pojęcie o Bogu“. Zadziwiający, zaiste, kramik nienawiści.

Ale to, co chyba najbardziej wyróżnia narodowo-socjalistyczne Niemcy od — cokolwiek powiemy — istniejącego jeszcze demokratycznego świata, ba, nawet od Polski, — to prawodawstwo i wymiar sprawiedliwości.

Pisałem o bezprawiu jako o najjaskrawszym objawie każdej rewolucji. Ale prawie niemniej charakterystyczne dla rewolucji już zwycięskiej jest jej stosunek do istniejącego prawa, jej tendencje do stwarzania nowych praw i wreszcie temperament, z jakim nowe ustawy wydaje lub stare przekształca. Z tych trzech punktów widzenia przewrót narodowo-socjalistyczny ukazuje się nam znowu jako typowa rewolucja: do starego prawa —

niedowierzanie, a nowe ustawy lub rozporządzenia, mające moc prawną, wydaje się z frenetycznym zapałem, wkraczając chaotycznie we wszystkie dziedziny życia. Prawodawcy Niemiec dzisiejszych zachowują się w równie rozagitowany sposób, jak dziecko w sklepie zabawek, któremu pozwolono wybierać, co mu się podoba. Jak dziecko też dzisiejsza rewolucja w Niemczech odrzuca pomoc i doświadczenie starych opiekunów, jak np. kodeksu rzymskiego, czy innych, bądźcobądź, sumiennie przemyślanych zbiorów praw. Zda się w zacietrzewieniu wołać: „Ja siama“.

Pozwolę sobie przytoczyć kilka ustępów z przemówień wygłoszonych na „Manifestacji Prawników“ w Berlinie. Obchód ten odbył się pod hasłem: „O niemieckie prawo i niemiecki wymiar sprawiedliwości“. Zgromadził przedstawicieli sądownictwa, prokuratury, narodowo-socjalistycznego związku adwokatów; (odpowiednik polskiego K.A.R.P‘u); obecni byli również ministrowie sprawiedliwości Rzeszy i krajów związkowych oraz delegaci narodowo-socjalistycznej organizacji prawników austrjackich.

Przywódca frakcji narodowo-socjalistycznej w pruskim Landtag‘u, nadprezydent Brandenburgji, Kube, mówił: „Sędzia powinien być sprawiedliwy, ale objektywizm ma swoje granice tam, gdzie idzie o sprawę narodu. Żywotne interesy narodu sędzia musi stawiać bezwzględnie ponad prawem formalnem“.

Dalej przemawiał sam organizator manifestacji, pruski minister sprawiedliwości Kerrl. Jest on uosobieniem tego

radykalnego, powiedzmy — beznadziejnie logicznego kierunku w narodowym socjalizmie, który tak groźnie przedstawia się dzisiaj nietylko dla komunistów czy junkrów, ale nawet dla ludzi stojących na szczytach rewolucji. Do grupy przestraszonych można chyba śmiało zaliczyć i samego Hitlera. Kerrl bowiem kilkakrotnie pozwolił sobie wobec Führera na niesubordynację. Na wspomnianej manifestacji powiedział m. in.: „Przezwyciężona została wreszcie zarozumiałość intelektualistów. Przedstawiciele tego poglądu myśleli kategorjami wszechświatowo-obywatelskiemi, wszechświatowo-gospodarczemi i wszechświatowo-politycznemi, a naród tymczasem schodził na psy“. Przyszłe prawo „nie może być zależne od jakiejś litery czy paragrafu, dojść będzie można do niego jedynie poprzez charakter niemieckiego sędziego“. „Przyszły sędzia nie będzie kierował się paragrafami czy literą prawa. Musimy odejść od nadmiaru szablonów i fabrykowania ustaw, które tak dalece przewidują każdy możliwy wypadek, że sędzia ma zawsze pełne usta gotowych formułek“. „Praca sędziego to tylko zwyczajna technika. Precz więc od tego szaleństwa!“ (żywe oklaski).

Komisarz państwowy dr. Franck, prezes związku narodowo-socjalistycznych prawników niemieckich, określił narodowy socjalizm jako rewolucję germańską. Podkreślił, że po raz pierwszy pojęcie rasy jest uwzględnione przez prawo i że prawo to nie wegetuje w zakresie łamańców oderwanego myślenia, ale odżywa nanowo w świadomości narodu. Dr. Franck objaśnił, że

chce wyraźnie stwierdzić, że walka o niemieckie prawo jest sprawą narodowego socjalizmu i będzie prowadzona wyłącznie przez „wykładniki siły“ tego ruchu (oklaski). Niemożliwe jest, żeby ten porządek prawny, który doprowadził naród do upadku, pozostał nadal, kiedy idzie o odbudowę państwa niemieckiego. „Jak się to już stało w Bawarji, tak samo będziemy się też starali w całej Rzeszy, żeby egzaminy z prawa rzymskiego były natychmiast i w każdej formie wstrzymane. Państwo niemieckie będzie mogło w przyszłości żądać, żeby interesy jego i jego ludu stanowiły jednocześnie podstawę sędziowskiego objektywizmu“. „Każda neutralność jest zła, albo obłudna (oklaski). Niedawno złamaliśmy wpływ żydostwa na niemiecki wymiar sprawiedliwości. Niektórym może wydać się trudne pogodzenie tempa procesu i potrzeb państwa z programowemi założeniami ruchu. Tempo narodowej rewolucji określa nasz Wódz. Związek narodowo-socjalistycznych prawników nie odstąpi nigdy od żądania wyrugowania wszystkich bez wyjątku Żydów z życia prawniczego w każdej jego formie“ (burzliwe oklaski). Dr. Franck zapowiedział, że wkrótce ma być rozpoczęta reforma prawa karnego, jak również reforma procedury cywilnej. (Te rzeczy robi się na kolanie). Jeszcze w ciągu przyszłego tygodnia gabinet Rzeszy zaaprobuje obszerną nowelę do kodeksu karnego, nowelę, która uwzględni najważniejsze i najpilniejsze potrzeby, a mianowicie: zaostrzenie kar w dziedzinie nielojalności, korupcji i dręczenia zwierząt, a zniesienie karalności pojedynków studenckich etc. (Dziwne zaiste są niektóre sprawy

niecierpiące zwłoki. Wiem zresztą skądinąd, że studenci nie czekali wcale na ukazanie się noweli i z całym animuszem zabrali się do wzajemnego kaleczenia). Chociaż praca prawodawcza jest teraz tak uproszczona, ciągnął dalej dr. Franck, w przyszłości będzie bardzo trudno łamać prawa Rzeszy. Państwo nie ma zamiaru prowadzić dalej tego odurzania humanitaryzmem, jakie praktykowano w przeszłości. „Ośrodkiem naszej pracy jest lud, a przestępcę będziemy tak ścigali, że się nauczy drżeć przed władzą“. (Oby się to drżenie ograniczyło tylko do przestępcy).

Po dr. Francku dziekan wydziału prawnego na uniwersytecie berlińskim, Geheimrat Heymann, w ciągu obszernego przemówienia uskarżał się na scholastykę (jak się wyraził), która się pono rozpanoszyła, zwłaszcza w prawie cywilnem. Wyraził nadzieję, że prawo niemieckie, które wzięło swój początek z prawa chłopskiego (Bauernrecht) znowu zacznie posługiwać się chłopskim rozumem, a nie, jak dotychczas, metodami scholastycznemi.

Wreszcie dyrektor departamentu ministerjum sprawiedliwości i prezes pruskiego związku prawników Nazi, dr. Freisler, złożył przy akompanjamencie burzliwych oklasków w imieniu pruskiego ministra sprawiedliwości urzędowe oświadczenie, że ci, którzy walczyli o wolność Niemiec (?) i których stary system uznał za morderców, są teraz uroczyście proklamowani bohaterami narodowymi. „Niema tu żadnego dociekania prawa formalnego i żadnego wyroku sądu. Sumienie ludu przemówiło“.

Co to znaczy? Jest to aluzja do t. zw. „Fememord‘ów“

czyli skrytobójczych morderstw, wykonywanych na zasadzie wyroków sądów tajnych (kapturowych). Jak wiadomo, wiele tego rodzaju wypadków zaszło podczas powstania na Śląsku, w okupowanych rejonach na zachodzie Rzeszy, i wogóle w związku z „Putsch'ami" i walkami partyjnemi. Dzisiejszy prezydent policji wrocławskiej, który od dn. 1 maja b. r. jest jednocześnie dowódcą SA (nadgrupy 1) na Pomorze Pruskie, Meklenburgję, Ostland, Śląsk Niemiecki i Brandenburgję wraz z Berlinem — siedział do przewrotu styczniowego w więzieniu za takie właśnie morderstwo. Obecnie, jak donoszą gazety, powierzono mu rolę „usmiritiela" na Pomorzu pruskiem, gdzie ma pokazać opornym junkrom, stahlhelmowcom i niemiecko-narodowym, co to jest subordynacja względem narodowej rewolucji.

Enuncjacji dr. Freislera specjalnego posmaku rewolucyjnego dodaje fakt, że podobno wielu jest takich, którzy pamiętają, (choć starają się jaknajszybciej o tem zapomnieć), dr. Freislera jako czynnego komunistę. Gdyby się o tem nawet nie wiedziało, łatwo byłoby wpaść na tę myśl, słuchając końcowego ustępu jego przemówienia, które jednocześnie zamykało obchód. Położył on, jak i jego przedmówcy, nacisk na to, że przy ferowaniu wyroków nie można się kierować fałszywym objektywizmem. Prawem jest zawsze to, co służy życiowym potrzebom narodu. Prawnicy niemieccy wrócą teraz do pracy i będą tworzyli państwo karności (Zucht), porządku, zdrowego rozwoju „krwi niemieckiej", państwo chłopów, robotników, żołnierzy — państwo Adolfa Hitlera.

Czy to o takich sędziach w Berlinie głosi tradycja wieku oświecenia?… Czy rosnące w potęgę Prusy Fryderyka Wielkiego — ale i Woltera — pisały: „Il y a des juges à Berlin“ — gotykiem?

*Tekst jest **własnością publiczną** (**public domain**). Szczegóły licencji na stronie autora: Antoni Sobański.*

„WEHRHAFTIGKEIT“.

„Wehrhaftigkeit“ — znaczy dosłownie zdolność do noszenia broni, a w znaczeniu, jakie obecnie nadają temu słowu Niemcy, znaczy — zdolność do obrony. Od czasu przewrotu hitlerowskiego jest to jedno ze słów najczęściej spotykanych w prasie. Rozciąga się ono w mojem pojęciu na organizację militarną kraju, na sprawy gospodarcze i na psychikę, a nawet na mistykę narodu.

O tem, czy Niemcy są narodem mistyków, — zdania są podzielone. Nie można jednak zaprzeczać faktowi, że w chwili obecnej naród niemiecki przechodzi wyraźny, choć nieuświadomiony, okres mesjanizmu. Już w kilku przemówieniach Hitlera nuta pogawędki z Bogiem, pogawędki namiestnika ze swoim monarchą — brzmiała całkiem wyraźnie. Ale pozatem istnieje w dzisiejszych Niemczech pewne podświadome przywiązanie i kult symboliki. Kult ten, bez wątpienia — to w pewnym stopniu zdegradowana forma mistycyzmu. Sztandar, żeton, mundur, mensura, Führer, Wagner, swastyka, złote warkocze — wszystko to są symbole. Do tego rodzaju symboli i do ustroju koszarowego naród niemiecki zdaje się być głęboko przywiązany. Jak mi wyjaśnił, nie bez paradoksalnego dowcipu, pewien przyjaciel w Berlinie, Niemcy mogły się stać ośrodkiem naprawdę twórczego pacyfizmu: należało

tylko pacyfizm ten potraktować militarnie. Pacyfistów trzeba było skoszarować, umundurować, trzymać w wojskowym rygorze, a wówczas zastępy ich rosłyby szybko. Takie paxabteilungi, jak udarnicy sowieccy, niesąc ewangelję pokoju, szłyby do narodów kochających szabelkę z taką samą bezczelnością, z jaką ministrowie Rzeszy polecieli do Wiednia. Lecz wiadomo, że „dzieci ciemności“ zawsze są górą, a pacyfiści, jak nas uczy smutne doświadczenie, nie okazali się dotychczas dobrymi psychologami.

Jeżeli zajmuję się militaryzmem niemieckim, to nie z myślą o nieuniknionej a bliskiej rzezi. Może się mylę, ale w tę rzeź chwilowo nie wierzę. Z pobytu w Niemczech wywiozłem wyraźne wrażenie, że nikt tam w chwili obecnej konfliktu zbrojnego nie pragnie. Młodzi i starzy są zahipnotyzowani słabością Niemiec (czytaj: krzywdą wyrządzoną im w Wersalu) oraz potęgą militarną sąsiadów. O wprost gigantycznej sile armji polskiej, na przykład, posiada opinja niemiecka nadzwyczaj wysokie i trwożne wyobrażenie. Więc bije się nietyle na agresję ile na obronę i konieczność zadośćuczynienia za upokorzenia, wypływające z przegranej wojny. Dopiero podczas ostatniej mej bytności w Berlinie zdałem sobie sprawę, jak głębokie i szczerze jest poczucie, że w r. 1918 naród został zhańbiony i zakuty w niewolę długów wojennych, odszkodowań, kontroli zbrojeń, okupacji ziem pra-niemieckich. Jak wciąż bolesną i jątrzącą się raną jest utrata kolonij, jakiem upokorzeniem — plebiscyty. W tym względzie społeczeństwo okazuje coś w rodzaju głębokiego urazu

psychicznego. Czy te wszystkie uczucia były w ciągu lat czternastu przez większość ukrywane, a teraz wybuchły, czy też to już hitlerowska propaganda zrobiła swoje, — niesposób dziś osądzić. Faktem pozostaje, że symbole równouprawnienia Niemiec z innemi państwami Europy są czasami cenione wyżej, niż uzyskanie dla narodu jakiegoś znacznego, rzeczywistego plusu, powiedzmy — natury gospodarczej. Rozumiem dobrze europejskich mężów stanu oraz rządy, które nie mogą temu ufać, ale kiedy przeciętny Niemiec mówi dziś: „Dajcie nam równouprawnienie, a będziemy najczujniejszymi stróżami pokoju“ — wygłasza te słowa z niewątpliwą szczerością. Szczerości w tym samym stopniu nie można się doszukać w enuncjacjach urzędowych, i prędzej słyszy się zwroty krasomówcze niż prawdziwie programowe, kiedy premjer pruski, kapitan Goering, mówi o sprawie zmiany godła Prus: „Miecz i błyskawice są przywrócone pazurom pruskiego orła heraldycznego. Miecz jest znakiem, że zachowamy pokój i że pragniemy bezpieczeństwa dla naszego narodu. Ale błyskawice są znakiem, że ten, kto spróbuje znowu zniszczyć Niemcy, będzie rażony gromem orła pruskiego“. Te autorytatywne zapewnienia czynników rządzących o pokojowości Niemiec i agresywności sąsiadów są tak ciągle i systematycznie wpajane w społeczeństwo, iż nie należy zbytnio dziwić się kiedy na granicy Polski czy też Saary odbywają się manifestacje z pogróżkami. (Mało to studentów chodziło pod gmach poselstwa niemieckiego w Warszawie). Siedząc kiedyś przy obiedzie z kilkoma panami, zajmującymi tak wysokie stanowiska w partji, że

byłem przekonany, iż oni przynajmniej wiedzą, jak się sprawy naprawdę mają, — starałem się im wytłumaczyć pokojowość polityki polskiej, zwłaszcza teraz, kiedy rządowi polskiemu można zarzucić wszystko, tylko nie szowinizm czy uleganie pokusom demagogji. Słuchali mnie sceptycznie, choć naogół posiadam ich zaufanie i informacyj moich nie lekceważą. Kiedy skończyłem mój wykładzik, powiedzieli: „No, ale jednak Gdańsk — zajmiecie lada dzień; czekacie tylko na okazję, a dlaczego nie zabieracie Prus Wschodnich — to już jest zupełnie niezrozumiałe. Uderzenie od Grudziądza i Grodna, a Królewiec jest wasz. Przecież te nieszczęśliwe Prusy Wschodnie są całkiem bezbronne“. Tu znowu zacząłem wyjaśniać, ale krótko. Nastawienie tych panów było wyraźnie pobłażliwe dla moich dobrych chęci względem Marchji Wschodniej, a wysoce krytyczne co do mego daru orjentacji w nastrojach polskich.

Naród, przeznaczony do wojny, trzeba od samej kolebki wychować w odpowiednim duchu. Pod tym względem ciekawa była mowa ministra spraw wewnętrznych, dr. Fricka, na zjeździe ministrów oświaty krajów związkowych. Właściwie mowa ta ciekawa jest tylko dla tych, którzy o wychowaniu w Rosji sowieckiej, czy też we Włoszech (o, przepraszam, — w Italji), nic nie słyszeli. Bo i Polacy przywykli już słyszeć o tem, co mówił dr. Frick, „że główną zasadą wychowania powinno być stworzenie ducha służby oraz zidentyfikowanie się jednostki z państwem w przeciwieństwie do liberalnej teorji o indywidualnem myśleniu i wolności“. Przy nauczaniu

historji (jednego z najważniejszych przedmiotów) należy specjalnie uwzględniać, czy nawet prawie wyłącznie ograniczać się do okresu ostatnich lat dwudziestu. Wojna powinna być gloryfikowana, a rozbudzenie „sumienia“ narodowego we wszystkich jego, nawet najmniejszych etapach, od walk w Ruhrze, aż do zwycięstwa Hitlera, ma być tematem szczegółowych wykładów. Dziecko musi zrozumieć, że jest członkiem stumiljonowej (?) rodziny, z której zwłaszcza po wersalskim „dyktacie“ prawie ⅓ znajduje się poza granicami Rzeszy (?). „Wehrhaftigkeit“ powinna być tym ideałem, przyświecającym dziecku od maleńkości. Wola państwa, a nie rodziców, będzie odtąd kierowała wykształceniem szkolnem i t. d. Wszyscy aż za dobrze znamy ten refren.

Rewolucja narodowa jest niewątpliwie ruchem ludzi młodych. Nowe Niemcy są budowane przez młodych i dla młodych, a jednocześnie dyscyplina wojskowa, na której tle rozgrywa się obecny dramat, wytwarza dziwnie kontrastowe sytuacje. Władze uniwersyteckie wraz z ministrem Rustem starają się ująć w jakieś karby rozwydrzonych przez rewolucję studentów, a tenże Rust w auli uniwersytetu berlińskiego podczas przemówienia do młodzieży akademickiej beszta wprost profesorów za to, że powsadzali nosy w księgi i retorty i nic ich nie obchodziło, co się działo w duszy młodych.

To też naogół nie liczy się na profesorów. Marny to materjał agitatorski. Nie nadawała się również do agitacji większość organizacyj studenckich. Dowodzi tego ich zlikwidowanie. Stworzono natomiast posłuszną „Deutsche

Studentenschaft“, jedyną instytucję studencką, oficjalnie uznaną przez władze, no i przez „Myśl Narodową“. Anonimowy współpracownik tego pisma, nie czekając na koniec moich reportaży, zarzuca mi brak zainteresowania duchem tej organizacji. Przykro mi niezmiernie przyznać wrogowi, wprawdzie tylko poczęści, rację. Bo choć zrobiłem potrzebne kroki i poznałem typowych hitlerowskich korporantów, jednakże nie potrafiłem długo z nimi rozmawiać. Byłem nimi dość przestraszony, trochę jak sztuką „Schlageter“, pomimo że wielu z nich, to ludzie inteligentni. Tylko że taka wizja przyszłości nie nadaje się do długiego oglądania. Rewelacyjne momenty z moich rozmów z niedojrzałymi szowinistami dałyby „Robotnikowi“ pełne zadowolenie: ci młodzi nie lękają się wcale mistycznej siły mścicielskiej, jaką zawiera w sobie przelana krew robotnicza. Nowaczyński uważałby przytoczone cytaty za rozsądne opinje narodowo myślącej młodzieży. Ale ja chcę uważać je za przejściowy objaw przejściowego okresu, przeżywanego przez ludzi w przejściowym wieku. Nie będę więc rozmów tych opisywał. Poco jątrzyć? Studenci, których spotkałem, powtarzają trochę bardziej szczerze to, co ministrowie wykrzykują dla tłumów. Ale nie należy brać tego zbytnio do serca, bo iluż to polskich burschów jest dziś pokornemi owieczkami p. Sławka. Wystarczy pochodzić rok bez posady.

A w życiu studenckiem jakież są objawy „Wehrhaftigkeit“?. Póki wykłady jeszcze trwały, przymusowemu wyszkoleniu wojskowemu poświęcano w niektórych wyższych uczelniach aż cztery godziny

tygodniowo, a co drugi „weekend“ spędzano w obozie lub „w terenie“. Przymus ten dotyczył nawet mego znajomego, którego jeszcze rodzice naturalizowali się w Holandji. Żydów do tych ćwiczeń nie dopuszczano. Mieli zato więcej czasu na naukę. Niech się tylko zmieni kurs, i znowu ci nieznośni Żydzi będą lepszymi lekarzami i sprytniejszymi prawnikami.

W lecie, tak samo jak w Polsce, mnóstwo obozów „przysposobienia“; zwłaszcza studenci obejmujący posady rządowe muszą wykazać się „obozem“. Program takiego obozu zawiera „gimnastykę, sporty terenowe takie, jak marsze i biegi w maskach, marsze z przeszkodami, marsze w pełnym rynsztunku bojowym, ćwiczenia w wyzyskiwaniu terenu przy akcji bojowej“. Połowa dnia jest zajęta „tymi sportami“. Wykłady teoretyczne dotyczą tematów polityki populacyjnej i kolonizacyjnej, stosunków politycznych i gospodarczych w Europie wschodniej, przemysłu wojennego, krzywdy traktatu wersalskiego i świętej czystości rasy.

Jadąc z moim znajomym autem do jego majątku pod Berlinem, przejeżdżałem przez Döberitz, sławnego jeszcze przed wojną terenu ćwiczeń wojskowych, rewij i parad. Służy on obecnie ćwiczeniom wojskowym i manewrom Reichswehry, Stahlhelmu, SS i SA, a czasem wszystkim razem. Jeszcze niedawno odbyły się tam manewry w związku z powołaniem do ćwiczeń wojskowych przeszło pięciu tysięcy byłych oficerów. Nawiązuje się rozmowa na temat przysposobienia. Mój amfitrjon jest jednym z niewielu ludzi, którzy już przed wcieleniem Stahlhelmu do

bojówek hitlerowskich należeli do jednej i do drugiej organizacji. Podczas wojny był oficerem gwardji. Jest konserwatystą, monarchistą i typowym, chociaż dość inteligentnym, wojskowym. Zaczął więc opowiadać mi, jak regulamin obozu Stahlhelmu jest identyczny z regulaminem wojskowym, jak jego ludzie uczą się robienia map, jak praca nad tymi ludźmi jest wdzięczna i owocna. Mknęliśmy ślicznym dwuosobowym samochodem po świetnej, choć wąskiej i bardzo krętej, szosie, mijając co chwila jakieś urocze jeziorko zgubione wśród falistych pagórków pokrytych lasem. Mrok zapadał, powietrze było przesiąknięte zapachem wilgotnej zieleni. Popatrzałem na mego gospodarza-szofera. W czerstwej sile swych czterdziestu lat, z blaskiem radości życia w jedynem, pozostawionem mu przez wojnę, oku, w mundurze niczem nie różniającym się dla laika od wojennego „feldgrau“, — siedział uśmiechnięty przy kierownicy i cieszył się, że wieczór jest tak upajający, że auto tak świetnie „ciągnie“, że w swojej pięknej rezydencji będzie gościł podczas „weekendu“ miłych przyjaciół, że w poniedziałek jedzie na kilkudniowe manewry i będzie „robił żołnierzy“. Pomyślałem sobie raz jeszcze, popatrzywszy na niego z dużą sympatją, że jednak w teorji odrębności ras musi być jakiś duży procent prawdy.

I przypomniałem sobie münsterską, dziś już historyczną, mowę wicekanclerza von Papena, który przecie mówił: „Z pacyfizmu wyrósł niebojowy pogląd na życie. Zaczęło się to od literatury, lubującej się w przedstawieniu człowieka silnego, jako brutalnego głupca i uświetnianiu postaci

każdego słabeusza“. „Wszędzie wietrzono potrzeby: od potrzeb niezrozumianej kobiety do wymogów płciowych więźnia. Zamiast wzniecać energję do walki życiowej, chciano każdemu rozesłać niejako dywan pod nogi. Życie miało się stać wygodną ulicą, kiedy tymczasem z boskiego założenia jest ono stromą ścieżką. Miłość bliźniego zginęła i ustąpiła miejsca uspołecznieniu, pielęgnującemu słabość kosztem siły. O karze śmierci wypisywano grube księgi“. *„Choroba, nędza — te wielkie kamienie probiercze ludzkich cnót — miały być doszczętnie wytępione.* Pacyfistyczna literatura o wojnie dawała do zrozumienia, że ten, kto padł na polu chwały, umarł śmiercią nienaturalną. Literatura ta nie miała żadnego zrozumienia dla starej żołnierskiej pieśni: „Niema piękniejszej śmierci na świecie, niż być zabitym przez wroga“. Nie rozumiała ona staro-germańskiego wstrętu do „Strohtod“ (śmierci na słomie). Uwiąd, spowodowany zwapnieniem żył, zdawał się jej bardziej męski. Pacyfistyczne powieści wojenne nie mogą się dość naopisywać strasznego wyglądu poległych. Tak jakby „zwłoki pokojowe“ były estetyczniejsze, jakby nie było znacznie ważniejsze, w jakim duchu człowiek umarł, niż jak trup jego wygląda. Czem dla mężczyzny jest pole bitwy, tem dla kobiety macierzyństwo. Kobieta stacza swoją walkę ze śmiercią, kiedy wydaje na świat nowe życie. Ale jak pacyfizm życiowy chciał położyć kres śmierci na wojnie z powodu odrażającego wyglądu umarłych, podobnie próbował uczynić też z macierzyństwem“. „Decydujący pozostaje w tym względzie fakt, że ludzie nie widzą już znaczenia świata jako

obowiązku utrzymania rodzaju, a myślą tylko o sobie samych. Zanik męskiego bohaterstwa odpowiada podobnemu zanikowi u kobiet. Ta myśl powoduje w nas nietylko troskę o istnienie naszego narodu, która przyniosła nam ze strony pacyfistów zarzut, że chcemy użyć kobiet jedynie do wydawania na świat mięsa armatniego, — ale w o wiele większym jeszcze stopniu troskę o stan duchowy naszych kobiet“. „Jest zbrodnią przeciwko porządkowi świata kiedy ludzie i narody pogardzają prawem utrzymywania rodzaju. Samobójstwo można popełnić nietylko na sobie samym, ale również na rodzaju i ciągłości życia. Utrzymanie tej ciągłości jest uwarunkowane złożeniem ofiary z indywidualności. Matki muszą się zużywać, aby dawać życie dzieciom; ojcowie muszą walczyć na polach bitew, ażeby swym synom zapewnić przyszłość“ (?). „Już podczas wojny było widać, kto jest urodzonym wojakiem. Można było jasno odróżnić prawdziwie walczące oddziały od balastu. Ci, którzy byli tylko balastem, zdjęli po wojnie mundury. Burzliwe lata 1914 — 1918 zapadły w ich pamięci jako nieprzyjemny epizod. Inaczej było jednak z tymi, których bohaterski duch nie został złamany i którzy także wśród rzezi walki gospodarczej wciąż odczuwali i wysoko stawiali gotowość do poświęcenia, koleżeńskość i spoistość narodu. Dla nich, pomimo całej goryczy i wszystkich cierpień, wojna pozostała narzędziem łączności narodowej, bohaterskim okresem ich życia, z którego czerpali nadzieję radosnej przyszłości. Widzimy więc, że bojowa tradycja wojny wciąż żyje wśród pewnej mniejszości jako zadatek

przyszłości narodu“. Duch wielkich bitew wojennych i duch narodowej rewolucji — jest jeden. „Przedstawiciele tego ducha to ci żołnierscy ludzie, którzy zachowują bojownicze cechy duszy i ciała. Czy idzie o SA, czy o Stahlhelm — jest to ten sam duch potwierdzenia życia („Lebensbejahung“), potwierdzenia ofiary z życia, duch, który utrzymał się przez lata goryczy i wreszcie się wyzwolił, ażeby dać początek nowej, heroicznej epoce“. Kończąc swe przemówienie, von Papen powiedział o Hitlerze, że przed śmiercią będzie on mógł pomyśleć o sobie: „Niemiecką żołnierskość z jej nieśmiertelnemi cechami obowiązkowości, odwagi, bezwzględnego poświęcenia dla ziemi swej krwi i ojczyzny swych ojców — postawiłem nanowo pośrodku kręgu myśli narodu niemieckiego. Narodowi temu dałem znowu za przykład — żołnierza niemieckiego“.

Myślałem o tej mowie, kiedyśmy zajechali. Przyjęcie miało być kawalerskie. Pani domu i dzieci były nad morzem. Na ganku spotkali nas inni, już wcześniej przybyli goście. Kilka osób było mi już oddawna znanych. Wiedziałem też, że znają się z gospodarzem dużo dawniej niż ja. Od lat widywałem ich razem w Berlinie: stanowili jedną paczkę. Zdziwiłem się więc trochę, kiedy zamiast przywitać się poprostu, dwaj młodzi ludzie podeszli pokolei do samochodu, stanęli na baczność, „ruki po szwam“ flanelowych spodni, oczy w słup, i czekali aż gospodarz poda im rękę. Dwaj chłopcy, o których mowa — to młodzi arystokraci, w wieku około 22 lat. Jeden z nich skończył Oxford. Ubrani są wyraźnie nienarodowo, a zato w

Londynie. Temu rok leżeliby rozwaleni, jak każdy z nas, na otomanie i piliby whisky, podając trochę starszemu od siebie panu rękę bylejak. Dziś kwestja kilku miesięcy w różnicy wieku stanowi o tem, kto przed kim staje na baczność. Przy kolacji, dość gęsto zakrapianej, znowu zauważyłem kompletne zmechanizowanie ruchu ramion i łokci przy podnoszeniu do ust kieliszka czy kufla. Znów oczy w słup i oczekiwanie, pełne czujności, na rozkaz picia, a gdy nastąpiło nieme zezwolenie na wychylenie kieliszka — wdzięczne rozrzewnienie w oczach, rumieniec dumy na młodych policzkach. W miarę jak alkohol działa — mechanizacja ruchów i lojalna koszarowość spojrzeń staje się coraz wyraźniejsza. Mało co w Niemczech tak mnie uderzyło. Spytałem nazajutrz dobrego przyjaciela, który zdawał mi się być niezarażony „koszarową gorączką“, czem wytłumaczyć niesłychaną metamorfozę w obyczajach tych młodych. Powiedział, że bardzo trudno zanalizować powody, ale że widocznie wypływa to z najbardziej zasadniczych cech charakteru niemieckiego. Powiedział to zresztą nie bez lekkiego zmieszania. Trudno osądzić, czy to są właśnie odpowiednie metody dla stworzenia tego „Herrenvolk“ (Narodu Panów), o którym tyle jest mowy?

Przy tejże kolacji wynikła dość ciekawa i zupełnie szczera rozmowa. Dowiedziałem się tym razem już nie z trybuny, prasy, sceny czy ekranu, ale w zaufaniu, z ust moich młodych towarzyszy, że pragną naprawdę umrzeć za Hitlera. Postuk kielichów i mowa o śmierci za Wodza dały mi na chwilę wrażenie, że to wszystko nie może być rzeczywistością, że jestem przeniesiony w jakiś rezerwat

dla pra-rekwizytów teatralnych, że wszystko na co patrzę, to malowane płótno i togi z drelichu. Ale w dalszej dyskusji wypłynął temat stosunkowej wartości oddziałów SA w porównaniu do Stahlhelmu. Wciągnięto mnie do rozmowy jako postronnego obserwatora. Powiedziałem bardzo spokojnie, to co myślałem, a mianowicie, że należy mieć nadzieję, iż Stahlhelm nie utraci zupełnie swej odrębnej fizjonomji, bo jest to jednakże element hamujący ekscesy rewolucji. Nie zdążyłem skończyć zdania, kiedy mój przyjaciel mocno kopnął mnie pod stołem. Szepnął mi w ucho, że młodzi ludzie, siedzący z nami przy stole, należą do SA i mogą się rozgniewać. Byłem zdumiony. O tem, że są w SA dobrze wiedziałem, ale nie wiedziałem, że w kółku swoich ludzi nie można prowadzić, nawet na zimno, dyskusji na podobne tematy. Więc jakto? Młodzi stoją na baczność, ale młodych nie wolno krytykować. Rekwizyty zaczynają nabierać rumieńców życia. To co się dzieje, to chyba nie jest jednak powrót do r. 1914, to jednak rewolucja.

W poniedziałek o świcie gospodarz mój odwozi mnie do Berlina. Na zielonych łąkach Döberitz widzę znowu jakieś mundury. To już nie Reichswehra czy Stahlhelm, ale coś bardzo podobnego, — to mundury noszone w obozach dobrowolnej pracy. Tak samo jak w innych organizacjach, przechodzi się też w tych obozach kurs przeszkolenia wojskowego.

Sport w Niemczech dzisiejszych przestał być rozrywką i został też poniekąd zmilitaryzowany. Państwowy komisarz do spraw sportu czuwa nad tem, ażeby żaden wysiłek

młodych mięśni nie był stracony dla sprawy rewolucji i narodu. Całą Rzeszę podzielono na szesnaście okręgów sportowych z różnemi mniejszemi podokręgami (rodzaj sportowych P. K. U.). Od komisarza zależy cała hierarchja półkomisarzy i ćwierćkomisarzy sportowych. Na konferencjach działaczy sportowych jest głównie mowa o stronie państwowo-wychowawczej sportu. Organizacje sportowe nie Nazi są tolerowane, tylko o ile mają na celu „czysty sport“. Wszelkie zabarwienie wyznaniowe czy przekonaniowe dyskwalifikuje je natychmiast. Ale sport prawomyślny jest tak protegowany i reklamowany, że np. z powodu święta gimnastyki w Stuttgarcie kolej musiała wydrukować 3.000.000 biletów dla wycieczek, udających się na to święto.

Dziwne jest w tem wszystkiem, że te same ćwiczenia wojskowe, które uważane są nietylko za obowiązek, ale i za przywilej każdego lojalnego obywatela, są jednocześnie stosowane jako najprzykrzejsza kara dla więźniów politycznych w obozach koncentracyjnych. Tworzy się w tych obozach druga, choć może mniej oddana rządowi, Reichswehra. Przecież ostatnie badania wykazują, że liczba więźniów w obozach Rzeszy wynosi dziś około stu tysięcy ludzi. Cyfrom tym rząd, oczywiście, gwałtownie przeczy.

Tyle o wojsku cywilnem. Ale „Wehrhaftigkeit“ na tem się nie kończy. Dzisiaj w sprawach gospodarczych ministerjum wojny zabiera głos jeszcze bardziej decydujący, niż resorty powołane wyłącznie do opieki nad ekonomicznem życiem kraju. Jeżeli samowystarczalność jest dzisiaj w modzie, to gdzieżby jej więcej hołdowano niż

w Niemczech, w tym kraju, który od dziewiętnastu lat czuje się stale oblężony. Ale pomimo tego chronicznego „stanu wyjątkowego“, obraz polityki gospodarczej Niemiec dzisiejszych przedstawia się dość mglisto. Poglądy to ścierają się dziwnie przypadkowo, to znowu najbardziej nieoczekiwanie biegną zupełnie równolegle. Jedyną wspólną cechą poczynań, czyto sztabu generalnego, czyto skrajnych elementów partji narodowo-socjalistycznej — jest radykalizm. Sztabowi jest obojętne, w jaki sposób wyżywi kraj, głównie interesuje go wojsko podczas wojny, a partji chodzi tylko o to, aby wreszcie dać masom coś bardziej konkretnego, niż frazesy — choćby cudzą własność.

Przemysł działa sprawnie, więc należy go oszczędzać. Zakusy skrępowania wielkiego, zachodniego przemysłu, robione w początkach rewolucji, spełzły właściwie na niczem. Ograniczyły się do jakichś powierzchownych objawów koordynacji. Przemysł pod wodzą p. Kruppa von Bohlen zwyciężył. Cóż mu, poza partją, może dziś stać na przeszkodzie? Chyba tylko konjunktura zagraniczna. Wewnątrz kraju ruch robotniczy został zupełnie złamany. Nowi, regjonalni komisarze pracy posiadają uprawnienia dyktatorskie co do normowania płac, czasu trwania i warunków pracy. Muszą czuwać nad spokojem w przemyśle, a policja dostała wskazówki bezwzględnego dla nich posłuchu. Tak wygląda więc kraj, którego ministrowie kończą każdą mowę stereotypowym zwrotem do robotnika niemieckiego: „Dla ciebie budujemy tę świetlaną, przyszłą Rzeszę“.

Tymczasem rząd zdaje się być skłonny do tolerowania inicjatywy prywatnej w przedsiębiorstwach stosunkowo niewielkich i posiadających prostą budowę administracyjną; pozostawia zaś sobie kontrolę i kierownictwo nad kartelami czy też polityką ogólną poszczególnych gałęzi wytwórczości i handlu. Gabinet Rzeszy wydał nawet niedawno ustawę, normującą mianowanie komisarzy do poszczególnych przedsiębiorstw i tworzenie przymusowych karteli wszędzie, gdzie widać robotę „ludzi niepewnych“. Słychać hasło powrotu do średniowiecznych podstaw ekonomicznych. Dąży się do państwa stanowego. Istnieje wyraźna tendencja rozbijania koncernów na pojedyńczo działające towarzystwa akcyjne. Łatwiej dać sobie z niemi radę, a pozatem duże koncerny nabierają zawsze cech międzynarodowych i są związane tysiącami nici z zagranicą.

Wszystko to wydaje się niewtajemniczonemu — chaotyczne i bezplanowe. Niektórzy twierdzą, że rząd i partja naprawdę nie ustalili jeszcze żadnych wytycznych życia gospodarczego, a tylko kierują się teorją i dążeniami. Jedna rzecz zdaje się być konkretna — to walka wypowiedziana junkrom, czyli agrarjuszom wschodnim. Reforma rolna czeka ich podobno niechybnie, a przeprowadzenie jej będzie tem łatwiejsze, że latyfundja te są tak nieprawdopodobnie przeciążone długami, iż wystarczy nie udzielić ich właścicielom ulg podatkowych czy prolongat kredytów — żeby każdy z tych majątków poszedł w krótkim czasie pod młotek. Będzie wówczas miejsce na kolonizację. Za co jednak przeprowadzi się tę

kolonizację, skąd weźmie się pieniądze na roboty publiczne, które mają być wykonane przez obozy dobrowolnej pracy, a w przyszłym roku także i przymusowej, — na te pytania nikt nie potrafił mi odpowiedzieć. Ale jak wiemy, na cele wojskowe czy organizacje napół militarne gotówki nigdy i nigdzie nie zbrakło. Czasem i często brakuje na zbudowanie ochronki czy szpitala, czasem nie można wykończyć wału ochronnego nad rzeką, która wylewa, ale na pociski i gazy trujące starczyć musi. Więc i w Niemczech — jakoś się to dzieje. Tylko że swoboda w rozporządzeniu funduszami na podobne cele musi być chyba jeszcze większa niż w krajach jawnie militarnych, charakter bowiem konspiracyjny zbrojeń niemieckich zwalnia tych, którzy stoją przy kasach, od legitymowania się przed społeczeństwem czy komisją parlamentarną.

Gwałt, podniesiony z powodu rzekomego nalotu obcych aeroplanów, rozsypujących „bibułę“ nad Berlinem, kiedy jednocześnie Maybach-Motoren-Werke wykonywują ogromne obstalunki silników samolotowych wprost na zamówienie ministerjum Reichswehry, — przypomniał mi rozmowę w samochodzie podczas przejazdu przez Döberitz. Zapytałem, pamiętam, czy ćwiczenia bojówek i Stahlhelmu robione są z bronią. Dostałem na to odpowiedź: „Przecież traktat wersalski na nic podobnego nie pozwala“. I przypomniał mi się strasznie stary, ale zawsze śmieszny „kawał“ o panience z miasta garnizonowego, która pytała matki: „Mama, was ist ein Leutnant?“.

*Tekst jest **[własnością publiczną](#) (public domain)**. Szczegóły licencji na stronie autora: [Antoni Sobański](#).*

WYJAZD.

Zbliża się chwila wyjazdu. Jeszcze jedna, ostatnia, wizyta. Spodziewam się po niej pewnego wyrobienia sobie zdania o sprawach kościołów chrześcijańskich w Niemczech. Choć kroki kierują do katolików, mam jednakże nadzieję usłyszeć trochę i o stanie protestantyzmu. Pod tak silnem ciśnieniem, jakie panuje obecnie, tworzą się przecie najdziwniejsze sojusze. Wszak widzieliśmy w Rosji sowieckiej niewątpliwe objawy pewnej solidarności chrześcijańskiej, której próżnoby szukać, na przykład, w Ziemi Świętej. Nadzieje nie zawiodły: znalazłem u moich katolickich informatorów wszystko, czego oczekiwałem. Nie będę jednak nawet robił próby naszkicowania obrazu walk i przeobrażeń toczących się w łonie kościołów protestanckich. Trzebaby dobrze znać życie i ustrój trzech głównych gałęzi protestantyzmu niemieckiego, żeby móc zrozumieć to, co się obecnie dzieje. Płynność organizacji, dogmatyki i liturgji oraz łatwość, z jaką zbory ewangielickie abdykują z najbardziej, zdawałoby się, zasadniczych rzeczy, łatwość znajdowania kompromisu, wszystko to stworzyło taki stan rzeczy, że Hitler nie miał właściwie, pomimo bardzo stanowczych sprzeciwów prezydenta Hindenburga, zasadniczych trudności z przeobrażeniem protestantyzmu w narzędzie zupełnie

podległe narodowej rewolucji, nie dając mu jednakże żadnych przywilejów religji panującej. „Der totale Staat“ nie może, oczywiście, patrzeć życzliwem okiem na żadną religję. Religja, to konkurencja. Nacjonaliści, to najskrajniejsi monoteiści. Jedno jest bóstwo: państwo. Reszta, to opium dla ludu. Nie wątpię, że wśród protestantów działy się i zapewne jeszcze dzieją się tragedje. Cierpieć musi wielu purystów, ale cierpią przypuszczalnie głównie ci, którzy widzą dzieło może całego swego życia zniszczone. Mam na myśli ludzi, pracujących w organizacjach i związkach wyznaniowych. Tragedje te jednak są bez wyjątku tragedjami cichemi. Głośnych protestów nie słychać. Pamiętam tylko jeden w sprawie oczekiwanego zakazu przyjmowania na wiarę protestancką — Żydów. Protest ten zresztą okazał się skuteczny, gdyż ustawa, normująca obecny stan kościołów protestanckich, nie jest zaopatrzona w paragraf aryjski. Zdziaławszy już tak wiele, rząd myśli teraz o wciągnięciu do wspólnej organizacji także kościołów protestanckich w krajach bałtyckich, Czechosłowacji, Austrji i Jugosławji, ażeby potem użyć ich jako organów hitlerowskiej infiltracji.

Ale kwestja katolicyzmu jest w Niemczech stokroć ciekawsza i ważniejsza. Przeszło czwarta część ludności, to katolicy. Śląsk, Bawarja i Nadrenja są całkowicie katolickie, a nawet w Berlinie jest około 10% katolików. Kiedy się widzi zlikwidowanie wewnętrznego życia politycznego Rzeszy przez starcie z mapy Niemiec wszystkich partyj; kiedy zagadnienia robotnicze i społeczne przestały być aktualne, dzięki bezwzględnej koordynacji;

kiedy się w dodatku wie, że ten stan rzeczy trwać może ad infinitum, gdyż nawet głód, spowodowany wrogiemi konjunkturami gospodarczemi, nie przestraszy rządzących, jak ich nie przestraszył i w Rosji, dopóki Reichswehra, SS, SA i Stahlhelm są nakarmione i zadowolone (a ten świetny aparat terroru liczy zaledwie około 800.000 ludzi) — wówczas kwestja katolicka staje się, czy też powinna się stać, problematem największej wagi. Gdyby życie było logiczne, w rękach katolików spoczęłyby losy rewolucji, ale ponieważ logika na arenie politycznej nie króluje, więc w rękach katolików spoczną nie losy lecz tylko odpowiedzialność za rewolucję. Bo jakże inaczej napiętnować niesłychaną bierność katolików niemieckich, zgrupowanych w zwarte jednostki geograficzne, w jednostki cieszące się doniedawna (widocznie niedosyć) autonomją polityczną (patrz Bawarja) i mające też doniedawna reputację bardzo „rzymskich“. Stawiano ich przecie zawsze za przykład wszystkim katolikom, plączącym sprawy wiary z szowinizmem. A cóż się okazuje? Heca antyżydowska jest najdalej posunięta w Nadrenji, kraju katolickim. Zwracam wybitnemu działaczowi katolickiemu uwagę na wysoce niechrześcijański charakter tego ruchu. Otrzymuję wymijającą odpowiedź, że w Meksyku żydzi nie bronili prześladowanych katolików.

Wogóle tych kilka cichutkich protestów, czyto w sprawie wolności prasy i słowa, czyto piętnujących objawy brutalności rewolucji, robiło wprost przykre wrażenie, kiedy się wiedziało, jakie możliwości w sensie kulturalnej

opozycji czekały tylko na wyzyskanie przez katolików. Zakneblowanie potężnej prasy katolickiej, zamknięcie i konfiskata majątku licznych związków i organizacyj katolickich nie wywołały sprzeciwu. Wiem dobrze, że sprzeciw może być równoznaczny z utratą wolności. Ale, o ile mnie pamięć nie myli, kościół katolicki posiadał już w przeszłości swoich męczenników. Ci katolicy jednak, którzy dzisiaj są uwięzieni, cierpią za swoją przeszłość, cierpią z powodu konjunktury politycznej, ale rzadko kiedy cierpią za akty odwagi cywilnej. Nad tem właśnie ubolewał jeden z moich informatorów, ksiądz, który potem został zresztą aresztowany. On rzeczywiście „cierpi dla sprawiedliwości“. Mówił mi prawie z entuzjazmem, że tylko czeka na więzienie czy obóz koncentracyjny, że jedynie przez pokazanie narodowi męczenników można wyrwać go z pod hypnozy nacjonalizmu. Jeżeli za czasów Kulturkampfu, ciągnął dalej, aresztowano nawet biskupów, o ileż jaskrawsze powinny być dzisiaj objawy walki, kiedy duch rewolucji jest o tyle bardziej zasadniczo obcy i wrogi duchowi wszelkiej religji. Bo przyznać trzeba, że jeżeli rzadko uświadamiamy sobie, a może nawet negujemy fakt, że kultura, w której byliśmy wychowani, jest kulturą chrześcijańską, — w dzisiejszych Niemczech przekonamy się, stosując metodę eliminacji, że to co panuje w Europie poza Niemcami (zostawiam oczywiście nauboczu Rosję) jest może oddalonym, ale jednakże jest refleksem „przewrotu chrześcijańskiego“ z przed tysiąca dziewięciuset lat. Nic bardziej niechrześcijańskiego, ba, nawet nie pogańskiego, niż obecny przewrót niemiecki.

Nacjonalizm, to kult nizinny. Nie rozwija się on w cieniu Góry Oliwnej ani nawet Olimpu.

Miałem też sposobność zetknięcia się z katolickimi pacyfistami. Ludzie ci, a raczej resztki tej grupy, którzy znajdują się jeszcze na wolności w Niemczech, to rzeczywiście cudowny element ludzki. Rzadko spotykałem w życiu ludzi tak bezwzględnie uczciwych, tak niezdolnych do kompromisu. Dziś ich dążenie do intronizacji ideałów chrystjanizmu przez braterstwo ludów może się wydać prawie śmieszne. Lucjan Rydel i pani generałowa Ludendorff, oto typy dzisiejszych popularnych teologów. Ale niemieccy pacyfiści katoliccy nie bali się tej śmieszności i tego odosobnienia. Raczej Rzesza bała się ich i dlatego przedsięwzięła od czasu rewolucji odpowiednie kroki, aby ich wpływy unieszkodliwić.

Ale tymczasem p. von Papen, ten sam, który wygłosił cytowaną przeze mnie mowę w Münsterze, który wystąpił z Centrum, który pozwolił w następstwie na rozwiązanie partyj katolickich i na wszystkie antykatolickie poczynania swego rządu, — podpisuje w Rzymie konkordat, jakiego nie potrafił wyłudzić od Watykanu sam wielki Bismarck i zostaje odznaczony jakimś wielkim orderem papieskim, choć pewno nie „Pro Ecclesia et Pontifice“.

Co będzie dalej? Dobrzy katolicy oburzają się często na oportunizm, nacjonalizm i bierność episkopatu niemieckiego, który nietylko nie protestuje w samych Niemczech, ale jakoby mylnie i łagodząco informuje Papieża. Czy pesymiści w sprawach konkordatu mają rację — okaże przyszłość. Wydaje się nawet dla laika rzeczą

niemożliwą, ażeby „der totale Staat“ nie mieszał się do szkolnictwa wyznaniowego, tej najdrażliwszej strony życia katolickiego. A co będzie poprostu z niedzielnemi kazaniami? Nawet kapelan wojskowy nie potrafi mówić zupełnie „po linji“, o ile czuje się naprawdę księdzem. Chyba że kościół zażąda od swych wiernych nowego rodzaju męczeństwa, a mianowicie złożenia ofiary z zasad i z przekonań.

Trzeba jechać — a człowiekowi się nie chce. Nigdy nie zakosztowałem tak często opiewanego uroku Wschodu, przeciwnie, całe życie czułem instynktowny „Drang nach Westen“. Zachód nigdy nie wydał mi się tak zgniły jak Wschód. Wsiadanie do pociągu, jadącego w kierunku wschodnim, jest dla mnie zawsze prawdziwą przykrością. Więc choć w Niemczech widziałem bezsprzeczne objawy zdziczenia, położenie geograficzne Berlina i warunki życia robią z tego miasta coś jednakże bardziej europejskiego od Warszawy. A pozatem od Berlina zaczyna się „mój koniec świata“. Gdyby moje pojęcia o geografji sięgały czasów przedkopernikowskich, nie wątpiłbym po przejechaniu wschodnich przedmieści Berlina, że tu zbliżam się do krańca świata. Przedmioty, na których może spocząć oko, stają się coraz rzadsze, koloryt coraz bardziej wyblakły, i kto wie, czy ta sina linja lasów na widnokręgu, łącząca szarawe niebo z mało-zieloną ziemią, nie jest właściwie szparą, przez którą widać nicość. Zresztą studjowanie najnowszych map niewiele w tym względzie przyniesie pociechy, bo jeżeliby objechać kulę ziemską na wysokości geograficznej Berlin — Warszawa, droga przedstawiałaby

się dość beznadziejnie. Urozmaicenia nader słabe: Ural, Bajkał, sowiecka część Sachalinu, południowy cypel Kamczatki, góry Skaliste Kanady, dobrze na północ od Vancouveru, dno zatoki Hudsona, Labrador, no i wreszcie południowa Irlandja i Europa. Jak widzimy, o egzotyce niema mowy. A Łowicz nie każdemu wystarcza.

Ale co tu się zastanawiać — jechać trzeba. Wsiadam do pociągu. W moim przedziale siedzą już dwie panie o rysach wybitnie semickich, każda z córeczką w wieku lat siedmiu — ośmiu. Na dworcu żegnają je mężowie. Ruszamy. Moje panie pokazują sobie swoje domy, koło których przejeżdżamy, i rozmawiają po niemiecku o rzeczach błahych: nawet podsłuchiwać niewarto. Oddaję się medytacjom, przechodzę myślą wszystko com widział, com słyszał, hypotezy jakie budowano, przepowiednie jakie wygłaszano.

Widziałem więc kraj, w którym odniosła zupełne, miażdżące zwycięstwo rewolucja narodowa. (Zdaje się, że po wypadkach we Włoszech z przed dziesięciu lat, a teraz w Niemczech, określenie to posiada już zupełnie ścisłe, prawie naukowe znaczenie). Widziałem kraj jeden i niepodzielny. Jest to prawie jedyne wielkie dzieło Hitlera. Należy jednak uniknąć nieporozumień co do przymiotnika „wielki“ w powyższem zastosowaniu. Dzieło Hitlera jest wielkie, bo nikt tego dotychczas dokonać nie potrafił, bo może być brzemienne w następstwa dla przyszłej historji Europy; ale nie jest wielkie jeżeli chodzi o kulturę Niemiec i o spokój naszego kontynentu. Powyższe twierdzenia nie wymagają chyba argumentacji. Prawie zupełna

konsolidacja Rzeszy stała się jednak faktem i jak dotychczas, tak dalecy duchowi pruskiemu południowcy nie skarżą się, ani jawnie nie żałują utraty swych praw do niezależności i poddania się kompletnego pod batutę Berlina. To że Hitler jest Austrjakiem — nie odgrywa tu żadnej roli.

Czy rewolucja w tych, wreszcie zjednoczonych Niemczech siedzi mocno w siodle? Na to pytanie słyszy się przeważnie odpowiedź pozytywną. Zgóry zaznaczam, że w przepowiednie nie mam zamiaru się bawić. Postaram się tylko myśleć logicznie, ale i to w polityce, czy w historji niedaleko prowadzi. Kiedy się zastanawiać, skąd może przyjść wróg, groźny dla rewolucji, — z punktu widzenia Nazi trudno nie być optymistą. Katolicy, jak już pisałem, zawiedli. Socjalizm umarł śmiercią naturalną, tą papenowską „Strohtod“. Jest to zresztą bardzo przejmująca historja, że drogę do obecnego stanu rzeczy w Niemczech utorowała właśnie socjal-demokracja. Wprawdzie mogła ona też doprowadzić do komunizmu, ale właśnie ten paniczny strach wspólnego frontu z komunistami, choćby stworzonego na krótki okres czasu, dostateczny dla zorganizowania strajku generalnego, nawet tak niedawno, jak między 30 stycznia a 5 marca b. r., — spowodował, że Hitler zwyciężył i że klasy pracujące zostały pozbawione i głosu w życiu społecznem i broni do walki o swe stanowisko w narodzie. Skąd jednak ta zupełna bierność socjalizmu niemieckiego? Tłumaczono mi, że głównem niedomaganiem tej partji był brak ludzi młodych na stanowiskach decydujących. Obserwować to zresztą można

także i w innych krajach, choćby we Francji i w Polsce. Starzy leaderzy socjalistyczni w Niemczech nie byli dostatecznie demagogicznie nastawieni. Za mało urządzali wieców, za mało histerycznie nawoływali tłumy, za rzadko przyjmowali wiązanki kwiatów od dziewczynek w bieli (jak to ciągle czyni Hitler), a przedewszystkiem byli kunktatorami i ludźmi politycznie małoodważnymi. Doszło do tego, że wielu synów przywódców socjalistycznych zalicza się do zagorzałych hitlerowców.

Prawodawstwo, zmierzające do utrzymania obecnego stanu posiadania rewolucji narodowej, z każdym dniem staje się bardziej drakońskie. Istnieją specjalne rozporządzenia przeciwko „ludziom zrzędzącym“ („Miesmachern“). W biednych dzielnicach Berlina i prawie we wszystkich tańszych lokalach innych dzielnic właściciel lub obsługa są w porozumieniu z wywiadem policyjnym. Praca jaczejek jest niemal zupełnie uniemożliwiona. Jak już pisałem, Niemcy znajdują się w prawie hermetycznie zamkniętym kręgu terroru. A każdy rząd, który swą bezwzględność posuwa poza granice prawa i dbania o dobrobyt i szczęście obywateli, jest zwykle rządem dość długotrwałym. Przewraca się dopiero wtedy, kiedy zaczyna się wahać i mieć skrupuły.

Tymczasem pogłoski o pomrukach ludu, rozczarowanego brakiem konkretnych dobrodziejstw rewolucji, idą zawsze w parze z wiadomościami o coraz to nowych obostrzeniach prawnych i nowych przywilejach dla organów władzy rządu i partji. Trochę mniej najzupełniej zbędnej, wiecowej demagogji — a zapewne pracującym warstwom

niemieckim oszczędziłoby się niejednego objawu niezdrowo rozbudzonego apetytu. Słowa „apetyt” używam tutaj i w przenośnem i w dosłownem jego znaczeniu. Dziwnym zbiegiem okoliczności w chwili, kiedy o tem myślę, zatrzymujemy się we Frankfurcie nad Odrą. Jest niedziela. Słyszę śpiew. Znajoma melodja. To oddział szturmowców śpiewa w odjeżdżającym pociągu środkową zwrotkę Horst-Wessel-Lied:

Die Strasse frei den braunen Bataillonen,
Die Strasse frei dem Sturmabteilungsmann,
Es schaun aufs Hakenkreuz voll Hoffnung schon Millionen,
Der Tag für Freiheit und für Brot bricht an!

Brzmi to jakoś nieaktualnie. Co do chleba — gdzież jest ta nadzieja? Urzędowe dane statystyczne pokazują pewne zmniejszenie bezrobocia, ale należy pamiętać o istnieniu obozów dobrowolnej pracy, ciążących na budżecie państwa, a także o tem, że ci co utracili posady z powodów politycznych czy rasowych, nie są zaliczani do bezrobotnych. Jeżeli zaś chodzi o wolność, wiemy tylko, że poza opisanemi już gwałtownemi represjami, jakie stosuje rząd niemiecki, zaczęto w ostatnich czasach aresztować rodziny zbiegłych zagranicę emigrantów politycznych, ażeby w ten sposób zmusić ich do powrotu i ukarać.

Widziałem więc kraj rządzony według wzorów wziętych potrochu z Rosji i z Włoch. Komunizm jest zbrodnią. Mandaty socjalistyczne do wszelkich ciał ustawodawczych czy samorządowych zostały unieważnione. Inne partje przestały też istnieć: śpieszą się jedna przez drugą, która też

pierwsza rozwiąże się „dobrowolnie“. Pozostaje więc tylko partja narodowo-socjalistyczna, ale kto rządzi nią naprawdę? Hitler — Goering — Goebbels? A może jeden z nich? A może Kerrl, albo Rust, albo Freisler, albo Heines! A może poprostu sztab generalny Reichswehry? Niesposób powiedzieć. Jak w Rosji, mamy tu prawe i lewe odchylenie. To lewe odchylenie wydaje się odchyleniem przyszłości. Może i Otto Strasser powróci jeszcze do łaski. Ale z drugiej strony przemysł zachodni też mocno stoi na nogach, i wygląda, jakby nie tracił, ale przeciwnie, zyskiwał grunt pod temi nogami. Powinno się pamiętać, że w swych początkach cały ruch Nazi był finansowany przez kapitał i przemysł, nawet poczęści żydowski, jako środek obrony przeciwko zmorze komunizmu. W obecnej chwili broń zdaje się chwilami obrócona przeciwko jej dostawcom, a już w każdym razie przeciwko junkrom. Są tacy, którzy twierdzą, że wszystko w dalszym ciągu spoczywa w rękach kapitału przez duże K. Przypuszczam, że wersja ta jest przesadna, tak samo jak przesadne są przypuszczenia, krążące wśród lewicowej inteligencji, że w krótkim czasie dojdzie niechybnie do wielkich buntów wśród rozgoryczonych i rozczarowanych tłumów bezrobotnej biedoty.

Możliwa jest też monarchja. Wiele elementów socjalistycznych patrzy dziś z upragnieniem na tę możliwość. Ufają, że z powrotem monarchji powrócą też bardziej kulturalne formy rządzenia i sprawiedliwości. O cesarzu Wilhelmie niema, zdaje się, mowy pomimo żartu o rzekomym telegramie Kronprinza do ojca: „Vater, komm

bald zurück, wir sind das kleinere Uebel“ („Ojcze, powracaj prędko, jesteśmy mniejszem złem“). Mówi się, jako o kandydatach, o synach cesarza oraz o innych książętach krwi, nawet nie Hohenzollernach. Masy są na tę ewentualność monarchji zupełnie przygotowane. Gdyby do tego doszło, entuzjazm byłby niewątpliwie wielki, ale kierownictwo partji, a zwłaszcza lewy jego odłam, nie zdaje się bynajmniej dążyć ku temu.

Widziałem, i to może najważniejsze, kraj rządzony prymitywnym instynktem szczepu i jego odrębności. Ani na chwilę podczas pobytu w Berlinie nie mogłem zapomnieć o tem odrodzeniu prymitywu. Jaskinia, maczuga, owłosiony małżonek, broniący kobiety z cofniętem czołem — takie obrazki stają wciąż przed oczami kiedy się żyje w atmosferze gloryfikacji poczucia stadnego.

Ale rozmowy w przedziale przerywają mi tok rozmyślań. Po tematach obojętnych moje towarzyszki podróży zaczynają dyskutować kurs złotego. Aha, może jadą do Polski. Zjawia się konduktor. Zerkam na bilety. Są do Łodzi. Już wiem trochę więcej. Następuje dyskusja, czy i kiedy należy się przesiadać. Wreszcie nadchodzi kontrola paszportów. Z woreczków wyłaniają się niewątpliwe, polskie paszporty konsularne. Serce rośnie — rodaczki. Ale rozmowa ciągle jeszcze jest niemiecka, i to niemiecczyzną zupełnie poprawną. Opuszczamy ostatnią stację niemiecką. Jedna z dziewczynek siedzi przy oknie, wygląda znudzona, wystukuje bezmyślnie palcami po szybie jakąś melodję i coś nuci pod nosem. Przysłuchuję się. Tak, nie mylę się: „Deutschland, Deutschland über alles“. Słyszy to matka i

nagle odzywa się językiem Esterki i Mickiewicza: „Dziecko, poco ty to śpiewasz, ty przecie umiesz i polskie piosenki, zaśpiewaj lepiej coś po polsku“. Rewelacja. Dziecko posłuszne, choć dalej znudzone, zaczyna bez zapału, ale wyraźnie podśpiewywać: „Oto dziś dzień krwi i chwały“… W tej chwili pociąg wjeżdża na stację Zbąszyń.

Wyprawa moja skończona. Jestem już w Polsce. Na jak długo żegnam się z Trzecią Rzeszą, która mnie nie nawróciła, pomimo mej uczciwej chłonności? Ufam jednak, że zostanę należycie zrozumiany. Pisałem tylko prawdę i pisałem ją, mając wciąż na myśli, że nie należy jątrzyć już i tak trudnych stosunków pomiędzy Polską a Niemcami. Unikałem wszystkich szablonów zgiełkliwej histerji europejskiej prasy lewicowej i tylko prawda zmuszała mnie do wysuwania niestety dosyć ciężkich oskarżeń.

Pojechałem do Berlina oglądać rzeczy nowe; obserwować zjawiska, których badanie w Warszawie nie jest możliwe. Ale czy tak jest naprawdę? Człowiek posiadający wyobraźnię, może zrozumieć i odtworzyć, wiele z tego co się dzieje w Niemczech, przeczytawszy uważnie jakieś pismo sanacyjne i jakieś pismo endeckie. W piśmie sanacyjnem czyta się o inicjatywie Rządu w organizowaniu Święta Morza, Święta Straży Przedniej, Święta Przysposobienia Wojskowego. (Pomimo istnienia ogromnej, dobrze, bo za połowę zgórą polskiego budżetu, wyekwipowanej, jawnie rozwijającej się armji, która nie zna żadnych traktatowych ograniczeń). Można się dowiedzieć o Legjonie Młodych; o jedynej partji, która coś znaczy — B.B.; o tem, że zjazdy strzeleckie odbywają się

pod hasłami: „Każdy polak winien zdobyć w roku 1933 odznakę strzelecką“, „Polskę obronimy karabinami, a nie rezolucjami uchwalonemi na wiecach“, „Każdy obywatel — żołnierzem, każdy żołnierz — obywatelem“. (Druga część aforyzmu jest trochę niezrozumiała, bo jakże może wykazywać cnoty obywatelskie człowiek pozbawiony inicjatywy i swobody). Dowiemy się o konieczności zdobycia przez możliwie największą ilość obywateli Państwowej Odznaki Sportowej; o tem, że ćwiczenia wojskowe mają być obowiązkowe na wyższych uczelniach, jak już obowiązują w szkołach średnich; o tem, że dziecko powinno być wychowane, jako posłuszne narzędzie, a jego indywidualność ma się całkowicie poddać duchowi państwa. Przepraszam. Powtarzam się trochę, ale zwracam uwagę czytelnika, że tym razem mowa jest o Polsce, czy też o przyszłej Europie.

Powracam jeszcze na chwilę do prasy endeckiej. Znajduję tam pewne analogje z duchem prasy sanacyjnej, obok — przyznajmy — zasadniczych rozbieżności. Wspólną więc cechą jest bezwzględność i tolerowanie brutalności, a elementami dopełniającemi obraz dzisiejszych Niemiec — to demagogja i antysemityzm, uprawiany zresztą w Polsce przez osoby, które w Niemczech dawno padłyby ofiarą paragrafów aryjskich.

W trakcie czytania tych gazet można usłyszeć, jak przejeżdżający szwadron ułanów śpiewa ochoczo nieprawdopodobną, wprost sadystyczną piosenkę:

Jak to na wojence ładnie,
Kiedy z konia ułan spadnie,

Koledzy go nie żałują,
Jeszcze końmi go stratują.

Prawdą jest, że w Niemczech odbywają się obchody na cześć zabójców Rathenaua, ale podobnej piosenki niema, jak też nie jest używaną zdrobnieniała forma słowa „wojna“. Dotyczy to zresztą sześciu znanych mi języków europejskich. Nie twierdzę, że w Polsce kwitnie duch agresji, bo przeczyłbym swoim najgłębszym przekonaniom, ale od kraju, który podniósł i wykombinował hasło rozbrojenia moralnego, wolno i należy wymagać, aby frazesy na eksport słyszane były, choćby tylko jako frazesy, także i wewnątrz kraju. To chyba nie są przesadne wymagania.

Ale poza tem wszystkiem, tak w prasie endeckiej jak i sanacyjnej, tak w Polsce, jak i w Niemczech, we Włoszech i w Rosji, — ta sama, jedyna myśl przewodnia o celowości, z jaką należy używać społeczeństwa i ta sama beznadziejność, jaka przypada w udziale jednostce. Przychodzi wciąż na myśl „Życie termitów“ Maeterlincka. Jest to jeden z najbardziej ponurych i wstrząsających reportaży o społeczności, działającej sprawnie i celowo. Wszystko dla podtrzymania rodzaju, nic dla pocieszenia i nagrodzenia jednostki. Straszna, doprawdy, wizja tego, co nas czeka. W ten obraz przyszłości instynkt świata stara się wmalować jakiś promień szczęścia. We Włoszech jest ciepło i słonecznie, więc termitom tamtejszym zupełnie źle być nie może. Kościoły, coraz bardziej wkraczające w życie jednostki, obiecują szczęście po śmierci. Rosja zapewnia szczęście naszym prawnukom, co mało pociesza ludzi,

pozbawionych instynktów dynastycznych.

Niemcy są najuczciwsze: nie obiecują one szczęścia, tylko ogromny szmat ziemi, rządzony przez Niemców i ciągnący się od skolonizowanej Syberji po Nancy i Gandawę i od nordyckiego kręgu polarnego — po Sycylję Barbarossy. To kolosalne państwo, oczyszczone z wszelkiego indywidualizmu, będzie grząskie od krwi swych synów i krwi wroga, ale odrębne od reszty świata i od reszty świata odosobnione.

KONIEC

*Tekst jest **własnością publiczną** (**public domain**). Szczegóły licencji na stronie autora: Antoni Sobański.*

O tej publikacji cyfrowej

Ten e-book pochodzi z wolnej biblioteki internetowej Wikiźródła[1]. Biblioteka ta, tworzona przez wolontariuszy, ma na celu stworzenie ogólnodostępnego zbioru różnorodnych publikacji: powieści, poezji, artykułów naukowych, itp.

W publikacji została zachowana oryginalna ortografia, oczywiste błędy w druku zostały poprawione przez redaktorów Wikiźródeł. Przypisy dodane przez redaktorów oznaczono logiem Wikiźródeł.

Wersja źródłowa tego e-booka znajduje się na stronie: Cywil w Berlinie

Książki z Wikiźródeł są dostępne bezpłatnie, począwszy od utworów niepodlegających pod prawo autorskie, poprzez takie, do których prawa już wygasły, i kończąc na tych, opublikowanych na wolnej licencji. E-booki z Wikiźródeł mogą być wykorzystywane do dowolnych celów (także komercyjnie), na zasadach licencji Creative Commons Uznanie autorstwa-Na tych samych warunkach wersja 4.0[2].

Wikiźródła wciąż poszukują nowych wolontariuszy. Przyłącz się do nas![3]

Możliwe, że podczas tworzenia tej książki popełnione zostały pewne błędy. Można je zgłaszać na tej stronie[4].

W tworzeniu niniejszej książki uczestniczyli następujący wolontariusze:

- Wierzbowski
- Himiltruda
- Alenutka
- Matlin
- Ankry
- Seboloidus
- Rocket000
- Boris23
- KABALINI
- Bromskloss
- Tene~commonswiki
- AzaToth
- Bender235
- PatríciaR

---

1. ↑ https://pl.wikisource.org
2. ↑ http://www.creativecommons.org/licenses/by-sa/4.0/

3. ↑ https://pl.wikisource.org/wiki/Wikiźródła:Pierwsze_kroki
4. ↑ http://pl.wikisource.org/wiki/Wikisource:Skryptorium